

TYGODNIK WYBRZEŻA

ROK III

SZCZECIN, 21 LISTOPADA 1948 R.

NR 45 (119)

E. K. MICHAŁOWICZ

KONGRES TRWA...

Jednym z sukcesów Światowego Kongresu Intelektualistów w obronie pokoju, jaki odbył się we Wrocławiu jest fakt, iż obecni na nim ludzie wiedzy z zachodu uprzytomnili sobie, że ponoszą wielką odpowiedzialność za losy pokoju na świecie.

W dzisiejszych czasach, przy stałym rozwoju techniki, plany rozpętania nowej wojny mogą opierać się jedynie na współpracy z uczonymi i na wynalazkach naukowych. Po wrocławskim Kongresie Intelektualistów, który wyraźnie postawił tezę, że w obronie pokoju nie ma neutralności, że uczeni i badacze nie mogą się „zamknąć w wieży z kości słoniowej” — coraz szersze grono intelektualistów z całego zachodu protestuje przeciwko używaniu ich mózgow jako narzędzia do produkcji środków masowego niszczenia.

Po Kongresie Wrocławskim powstały (względnie powstają) w poszczególnych państwach terenowe organizacje intelektualistów, których celem jest kontynuowanie walki podjętej we Wrocławiu. Z prasy wiadomo, że francuska organizacja działająca w oparciu o stałe biuro Kongresu Intelektualistów, przedstawiła postulaty wrocławskie Organizacji Narodów Zjednoczonych. Znaną są wystąpienia uczonych w innych krajach, idące po linii wytycznych wrocławskiego Kongresu.

Analizując te akcje intelektualistów zachodnich, trzeba je widzieć na tle olbrzymiej nagonki, jaką prasa i radio zachodnie rozpętały przeciwko Kongresowi Wrocławskiemu i jego uczestnikom. Akcja ta zastraszyła niewątpliwie niejednego badacza i uczonego, w pracy swej finansowo zależnego od takiej czy innej fabryki, od różnych grup finansowych i monopolów. Prawda jednak, jak zawsze, przebiega sobie drogę, nawet w najtrudniejszych warunkach.

I tak się składa, że o sprawach intelektualistów zachodnich więcej wiemy dziś my w Polsce i w innych państwach Demokracji Ludowej, niż wie o nich ogół brytyjski czy amerykański. Toteż w prasie brytyjskiej z małym echem spotkało się znamienne wystąpienie uczonych brytyjskich w Brytyjskim Towarzystwie Naukowym, na którym dyskutowano temat „nauka a pokój”. Na zebraniu tym wystąpili dwaj uczeni brytyjscy, członkowie delegacji na Kongres Wrocławski: B. Bernal i W. A. Wooster.

Prof. Wooster zwróciła uwagę zebranych na niebezpieczeństwo, jakie zagraża postępowi wiedzy i stwierdziła, że uczeni zachodu winni domagać się zastosowania energii atomowej w gospodarce pokojowej, występować zaś kategorycznie przeciwko używaniu zdobyczy nauki dla celów wojennych.

Analizę naukową obecnej sytuacji międzynarodowej podał prof. Bernal. Podkreślił on niebezpieczeństwo istnienia wielkich systemów w gospodarce kapitalistycznej. Zwrócił uwagę, że imperializm amerykański nie tylko skoncentrował u siebie wielkie zdolności produkcyjne, ale zamierza rozszerzać swe panowanie gospodarcze i polityczne. Bernal, analizując znaczenie posiadania bomby atomowej przez Stany Zjednoczone, zwrócił uwagę, że nie jest ona monopolem amerykańskim. Stwierdził, że niezależnie od takich czy innych komplikacji w sytuacji międzynarodowej, Stany Zjednoczone nie są dziś w stanie prowadzić wojnę i okres ten winien być wykorzystany przez uczonych i intelektualistów do akcji ratowania i ugruntowania trwałego pokoju.

Role uczonych — zdaniem prof. Bernala — jest poruszenie i uświadomienie opinii publicznej.

Tezy referatu prof. Bernala — u nas zbywane być może twierdzeniem, że są oczywiste — nabierają swojego

właściwego znaczenia właśnie dlatego, że wygłosił je uczonego brytyjski wobec wcale nie jednolitego w swych opiniach grona uczonych i intelektualistów anglosaskich, zgromadzonych na onegdajszym posiedzeniu Brytyjskiego Towarzystwa Naukowego.

Nam w Polsce ważniejszym może od samych tez referatu prof. Bernala wydaje się fakt, że wywody jego rozpełtały ożywioną dyskusję wśród przedstawicieli nauki brytyjskiej. Podniosły się — aczkolwiek odosobnione — głosy broniące starej tezy, że naukowcy winni całkowicie oderwać się od życia politycznego i poświęcić się nauce ścisłej. Jednakże ogromna większość zebranych na odczytanie naukowców brytyjskich stwierdziła niedwuznacznie, że uczeni zachodu postanowili już (aczkolwiek nie wszyscy) odmówić oddania swych mózgow jako bezwolnych narzędzi dla produkcji środków niszczenia. Zrozumieli oni, że ponoszą wielką odpowiedzialność za to, dla jakich celów zużyte będą ich wynalazki.

Że przeświadczenie to trafiło do wielu uczonych na zachodzie, że teza ta zmusiła innych do dyskusji i do stałego zastanawiania się nad celami, którym służyć ma ich praca intelektualna, to niewątpliwie w dużej mierze zasługa wrocławskiego Kongresu Intelektualistów, który, jak kamień rzucony w wodę, porusza coraz szersze kręgi — środowiska intelektualistów na całym świecie.

Kto choć w części zna środowisko brytyjskie, a w szczególności środowiska brytyjskich intelektualistów, które lubią zamykać się w ciasnych gronach, ten z największym zadowoleniem przyjąć musi do wiadomości, że zebrani w Brytyjskim Towarzystwie Naukowym uczeni postanowili nie zadowolili się dojściem do porozumienia między sobą, lecz z opinią swoją wyjszli w społeczeństwo brytyjskie.

Tu jednak intelektualści brytyjscy natrafiają na największe przeszkody, jakie stawia im skądinąd tak szumnie reklamująca się „demokracja brytyjska”. Zebrani stwierdzili jednomyślnie, że cała nieomal prasa brytyjska i radio zamknięte są dla tych uczonych, których nie zalicza się do grona pracomysłowych. Jeden z obecnych sprawozdawców wydawnictw naukowych w Wielkiej Brytanii oświadczył, że wszystkie redakcje londyńskie, którym jeszcze przed Kongresem Wrocławskim proponował obsługę Kongresu, sprawozdała jego nie przyjęły, zadawałając się w końcu „obsługą własną”, pełną złośliwych zniekształceń. Celem redakcji brytyjskich było stworzenie kłamliwego obrazu wrocławskich obrad intelektualistów, toteż nie mogły one zgodzić się na obsługę rzetelną i fachową.

Uczeni i intelektualiści brytyjscy postanowili jednak wpływać na zachodnią opinię publiczną nie tylko przez prasę, ale i przez związki zawodowe, organizacje naukowe i wychowawczo-społeczne. Postanowili wydać manifest uczonych brytyjskich, który określi ich stanowisko wobec międzynarodowej sytuacji politycznej, zdecydowani są na zbiorowy protest

NA WROCLAWSKIM GOŚCINCU

Może organizatorzy Kongresu sami nie zdawali sobie sprawy jak bardzo żywotne, jak bardzo istotne, jak bardzo palące sprawy zostały poruszone we Wrocławiu, jak bardzo „Wrocław” stał się wielką rzeczą w walce o pokój. Okazało się, że wbrew groźbom i terrorowi, wbrew trudnościom wiz i dewiz — wśród intelektualistów świata i twórców jego kultury silniejsza i mocniejsza jest wola wspólnego pokoju, aniżeli można było pozornie sądzić.

Ktoś z uczestników Kongresu, i kilku z pośród jego zwolenników twierdzi i utrzymuje, że Kongres Intelektualistów w obronie pokoju miał rzekomo być apolityczny, że rzekomo takie zapewnienia padły przed Kongresem.

Śmieszne, wykrętne i dziecinne twierdzenia.

Wojna i losy pokoju są tak bezpośrednio, nieuniknienie, codziennie związane z wielką bitwą, która odbywa się na świecie między obózem postępu i obózem imperializmu — że wyrwanie zagadnienia obrony pokoju przez intelektualistów z całokształtu tej wielkiej walki oznaczałoby na wrót do wyswiechanych, jałowych, pustych i przedawnionych frazeologów, a co za tym idzie, do bezczynności świata nauki i kultury, a w dalszej konsekwencji, do pomocy przez bezwładność obozu imperializmu. Kongres Wrocławski wykazał dobitnie, że miejsce intelektualistów jest po stronie i w szeregach wielkiego obozu masowych ruchów społecznych, narodowych, socjalistycznych, że tylko tam mogą znaleźć opokę realną i realnego sojusznika, że ich wysiłki — wielki twórczy — może mieć cel i rezultat w oparciu się o politykę krajów prawdziwej demokracji społecznej na czele z ZSRR.

To jest wielki gościniec, to jest wielka droga, po której został zapoczątkowany marsz we Wrocławiu.

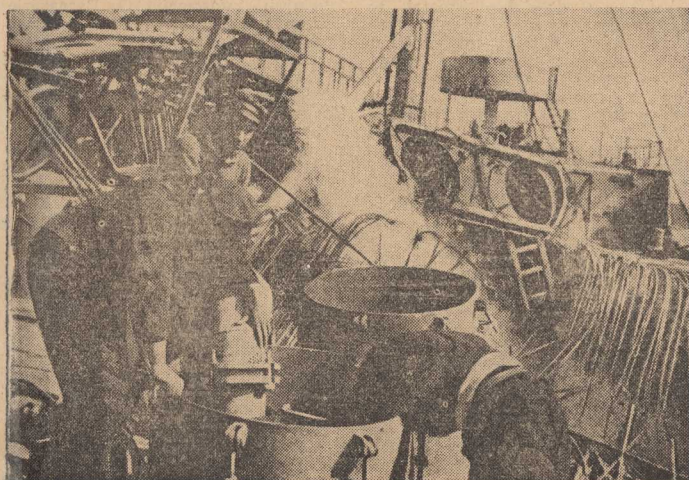
(z oświadczenia sekretarza generalnego SKI w czasopiśmie „W OBRONIE POKOJU” — nr. 4, wrzesień 1948).

przeciwko zamykaniu dla uczonych prasy i radia w Wielkiej Brytanii i dążąc będą do utworzenia międzynarodowych organów prasowych dla wolnego wypowiadania myśli.

W czasie dyskusji zwrócono również uwagę, że nie należy zrzucać całej winy na Stany Zjednoczone, gdyż w prowadzeniu kampanii antyrządzieckiej wielką rolę odgrywa także rząd brytyjski. Toteż postanowiono przeciwstawić się brytyjskiej polityce zagranicznej, jako obecnie nie służącej celom pokoju. Politykę amerykańską naukowcy brytyjscy określili jako dążącą do odbudowy tych sił faszystwu na świecie, przeciwko którym walczone podczas ostatniej wojny.

Zebranie w Brytyjskim Towarzystwie Naukowym wyraziło nadzieję, że z polskiej inicjatywy pokojowej we Wrocławiu wyłoni się potężny ruch uczonych w obronie pokoju, który będzie ujmował zagadnienie pokoju nie jako przerwę między jednym a drugim starciem wrogich sobie mocarstw, lecz jako trwałą ochronę ludzkości.

Przebieg dyskusji uczonych w Brytyjskim Towarzystwie Naukowym i działalności intelektualistów w innych środowiskach zagranicznych dowodzi naszym zdaniem aż nadto jasno, że: Kongres trwa.



Fot. E. Komorowski

W rejonie wód portu szczecińskiego trwają ciągle prace przy wydobywaniu i remontowaniu wraków.

GWIAZDY NAD KILWATREM

Wspomnienia Janusza Stępowskiego, których druk rozpoczynamy w „Tygodniku Wybrzeża”, miały być w początkowej intencji Autora przedmową do drugiego wydania znanej jego książki p. t.: „Legenda o maszowiecsońcu”. W miarę jednak pisania, ta — dla charakterystyki polskiej literatury marynistycznej i czasów, w których powstawały pierwsze jej próby, — niezmiernie interesująca praca rozrosła się do rozmiarów okazałego broszury czy nawet książki. Fragmenty wspomnień J. Stępowskiego drukować będziemy w szeregu kolejnych numerów naszego tygodnika.

Kuliste i sierpowe księżycy na srebrzystej drodze mlecznej! Ilez to razy kójarzyły się one z jedną z najcharakterystyczniejszych w moich wspomnieniach, rzeźbą kilwaterną, jak określa się w morskiej terminologii długą smugę, pozostawioną na gładkiej powierzchni morza za rufą statku. Niezawód wówczas miałem to głupie uczucie, jakby mój sublokatorski pokój na piątym piętrze, odbywał wraz ze mną rejs dalekobieżny w otchłani morskich żywiołów i wiekowych czasów, chociaż jego kilwaterny rzeźbiły właściwie tylko zastygłe światłości nieba, lub błyszczące w polsku deszczowej ulew, blaszane fałdy dachów, z kominami, dymnikami i przekłętą ścianką B. G. K., która o tyle przywoływała do rozśmieszania, że jej neonowe napisy, przy ciągłych defektach, stale wymyślały tragiczną śmieszność patosu w powszednim życiu, w odarciu go z jakiegokolwiek wniosłości i zudy.

Miał jednak ów kilwaterny jeszcze inną historię, umacniającą go w znacznie trwalszych kształtach praworu.

Obdyłem już wówczas kilkanaście morskich podróży na statkach towarowych i państwowych z dawnymi kolegami z Państwowej Szkoły Morskiej. Wprawdzie różniłmi się wcale wyrażnie i widocznie, bo też los obdarzył ich w międzyczasie złotymi paskami na rękawach i okazałym brzemieniem mil morskich, przebytych w służbie na szlakach żeglugowych, czego o sobie żadną miarą nie mógłbym powiedzieć, bądź co bądź jednak wyrosłimiśmy z jednego pomiotu lat szczenięcich. Zapewne dlatego — pomimo odmiennych dróg życiowych i raczej całkiem przygodnych spotkań w podróży — na postój statków w Gdyni — obowiązywała nas zawsze pamięć życzliwa i wzajemna wyrozumiałość dla własnych sympatii, pozbawiona przy tym typowych znamion ładowej konstytucji: — anemii mózgu i kabotyństwa.

Oczywiście, nie rozmawialiśmy nigdy o poezji, nie liryzując nawet na temat prozy własnego życia. Zresztą nie moja to wina, że ciągle patrzyli oni na mnie z pewną szczególną wdzięcznością, nie mogąc mi po tylu latach zapomnieć, że byłem autorem wesołej „Szopki”, która, wystawiona siłami drugiego rocznika uczniów Państwowej Szkoły Morskiej, miała kiedyś, dawno temu, w Tczewie w 1921 roku, ogromne powodzenie, dzięki swej satyrycznej — wobec ówczesnych stosunków szkolnych — aktualności, jak i dlatego przede wszystkim, że występujący w tej zabawie w teatrze koledzy, wprost do złudzenia naśladowali głosy naszych zacnych, Bogu ducha winnych, profesorów i wychowawców.

PIERWSZA PODRÓŻ ĆWICZEBNA

Lecz było poza tym coś jeszcze, co wzajemnie zobowiązywało nas przez długie lata, niezależnie od lisyń, wąsów, lub siwych nitek w czuprynie. Najważniejszą pozycję w naszych wspomnieniach zajął z pewnością statek szkolny „Lwów”, jak również ta świadomość, zgoda osobliwa, że w pierwszej, ćwiczebnej podróży tego żaglowca przyszło jednocześnie nam samym po raz pierwszy w życiu spojrzeć na świat morski z bliska. Z podróży wszystkich kilwaternów, pozostałych kiedykolwiek za rufą, ten jeden, należący do tego statku w krajoznawczy 1921-go roku, zawarł w swej symbolice zbyt specjalną wymowność, aby można go było porównać choćby z najwspanialszymi obrazami, przeżyłymi później na drabinie morskiej kariery, w marzeniach, czy na jawie. Wynikało to po prostu z natury rzeczy, z charakteru wspomnień, jedynych w swoim rodzaju, jak i z układu okoliczności i warunków, towarzyszących pierwszemu ówczesnych wra-

żeń w sposób wręcz fantastyczny i paradoksalny. Ponieważ od samego swego zarania wyrosły one w ścisłej zależności od zasad i pojęć wspólnej zbiorowości, stąd zapewne ich symptomatyczne znaczenie, nie tylko w pamięci pierwszych roczników Szkoły Morskiej, ale i w dzisiejszych zainteresowaniach społecznych, związanych z historią naszego morza.

Prawda, że zaszczytny sekret nawigacji, powierzony wówczas początkującym kandydatom żeglarskiej sztuki — podobnie zresztą, jak i dzisiaj dla wszystkich praktykujących na morzu — polegał na ustawicznym opukiwaniu rdzy młotkiem, lub czyszczeniu mosiężnych przedmiotów do rozblasku stu procentowego złota, na pociąganiu przy tym murarskim pedzłem, umaczanym w farbę, albo w żrącym kaustyku, po kadłubie, czy innych częściach statku. Prawda, że do największych precyzji w sekretach tej nawigacji należało również — jak dzisiaj — nieustanne szorowanie ceگی i ciągie pochłapywanie wodą desek pokładu. Aliści w tym programie codziennych zajęć mieściła się przy tym część prawdziwie koncertowa. Nazywałmi ją bez przesady — popisową pieśnią bicepsów. Chociaż, jak świat światem, stosuje się taką część koncertową w wszystkich szkolnych żaglowcach, zawsze i nieodmiennie, jednak w naszych, dawnych, pierwotnych czasach różniła się ona musiała swoistością własnego charakteru i stylu.

Oto, skoro świt, na statkowej wtedy komendzie kapitała Ziółkowskiego: — „Buty, skarpety, na grochule — los!” — i zaraz po tym — „Bram, bombram, topogóście — skrabaj się!” bez jakiegokolwiek dyskusji, na dźwięk tych dziwnych rozkazów, w których pies by się dzisiaj nie wyznał, z celującym zapałem ścigaliśmy się bosy po wantach — na saling, najwyższy punkt przechodni, prawie u czubka masztu, powtarzając ten żonglerski wyścig trzykrotnie, tam i z powrotem, do zupełnego okrwawienia goleni i podarcia w kroku drelichowych spodni.

Poza tym, w ciągu dnia trzeba było brać żywy udział w manewrach statku, nawet w stanie martwym. Z zasady manewry takie przypominały taniec tarantul w rozwieszonej w powietrzu pajęczynie. Nie wiem już dzisiaj jak to naprawdę być mogło, ale mając wtedy za jedyne oparcie dla nóg ruchliwą linę, przytwierdzoną chybottliwie do spodu rei, tak zwana: perę, udawało nam się jednak ścigać pod swe chude brzuchy nieznośnie ciężkie i twarde jak żelazo, fałdy żagli. Co nad to, umieliśmy je nawet związać i umiatać w rękach jak zwalkowane ciasto, a zwinawszy, przymocować owe fałdy do rei — sejmangiem, czyli pewnym mądrym postronkiem, służącym do tego tylko, a nie innego celu. Bo też nieraz bywało, że człowiek z rozpazcy pragnał się na nim powiesić. Nie dość bowiem, że rozchwiana przepaść wodna kiwała statkiem u dołu, ale i sam statek przeróżne w powietrzu zakreślał cyfry i wygibaszy. Zaieste, trudno było połapać się w tych płasach, nawet takim, którzy przodowali w algebrze i trygonometrii.

Zresztą bardziej interesujących tematów, nie brakło tym bardzo swoim w czasie. Najchętniej poruszano je w hamakach, zawieszonych u sufitu międzypokładu, na kilka minut przed snem codziennym, kiedy rytm morza huśtał nimi przepiszowo jak dziecinna kółka do wótru opowieści babuni. Oczywiście czarowny sens życia wynikał wtedy z głębokiej wiary w zieleni migdałów i obfitość gruszek na każdej rosochatej wierzbie.

Łatwo rozgrzeszyć cielece właściwości owych lat zamierzających, jeśli weźmie się pod uwagę, że było to na samym początku polskiego raczkowania po morzu, w okresie kiełkowania zębów mlecznych. Jeszcze wtedy kolorowa bajka z „Tysiaca i jednej nocy” przysłała całokształt ponury obraz rzeczywistości. Nikt wówczas jeszcze roznieć się nie umiał w okrucieństwie sygnatariuszy Traktatu Wersalskiego, którzy Polsce, państwu o 388.000 kilometrach kwadratowych powierzchni,

co dopiero właśnie przyznali 74-erokilometry pas nadmorskiego wybrzeża, a więc w sam raz tyle, ile miało kiedyś, przed pierwszą wojną światową, jedno z najmniejszych państw w Europie — Czarnogóra.

Nie było to dzisiejsze, na miarę głębokiego oddechu, Wybrzeże od Szczecina do Braniewa, ale jakiś kusy strzępek, który gorzej, niż pastuszkowa koszulina, nie wystarczał nawet na jakąkolwiek przyzwoitą przyodziewe do pepka. Bo i Gdańsk nasz, nie był wcale nasz. I ów krótki pasek nadmorski, złączony wąskimi przemykiem z ładowym zapleczem kraju, trzymał się od poczęcia na słowo honoru i jakby z łaski w zacisku niemieckiej garści. I na własnym morzu, zmusznie Polskim nazwanym od razu, chociaż w rzeczywistości ograniczono się ono nieledwie do zamulonej, płytkiej zatoki Puckiej, skłiła się smutna pustynia wodna, bez jednego wówczas dymu na horyzoncie.

A jednak rozrzucało to ludzi w zachwycie, zarówno cielecym, jak i baranım. Nawet wtedy, kiedy w gdyńskiej wioszczyźnie wisiły jedynie rozweziane na tykach rybackie sieci, a przez ich oka przezielało zimne, północne słońce, oświecając w pustynnym krajobrazie kilka pudełek od sardynek, które kręciły się opodal brzegu na kotwicy. Z dumą jednak pokazywano je sobie palcami, chwając przy tym potęgę naszej Floty Wojennej, kiedy w istocie składała się ona tylko z dwóch kanonierek i czterech trawlerów, częściowo wtedy pozbawionych kotłów.

SPOTKANIE Z ŻEROMSKIM

Pamiętam, że w takim właśnie czasie, po pustej plaży gdyńskiej, zasianej z rzadka garstką letników, chadzał dziwnie przygarbiony pan, lysawy, leciwy, w płaszczu kąpielowym i jak żóraw, czy czapla, dziobał wzrokiem w piasku. Wyglądał w tym zamysłu nieco dośry pociesznie. To też zdziwiłem się, gdy mi powiedziano z powagą, że to Stefan Żeromski — ten od „Popiołów”. Nikomu oczywiście nie mogło wtedy powstać w głowie, że marzył się temu pocie obraz przyszłej Gdyni, który wkrótce po tym wierną swoją trafnością miał oślnić wszystkich w „Wietrze od morza”.

I ten utwór barda owej epoki nosił w sobie wszystkie znamiona zachłystnięcia się pięknymi widokami na wzrost i na wiare, bez krytycyzmu. Może najistotniejszą jego wartością mieści się w zadokumentowaniu przy pomocy słowa drukowanego tej wspaniałej wizji, która wprawdzie w rzeczywistości nie znajdowała wówczas żadnego realnego pokrycia, ale też w zupełności zgadzała się z odbiciem kształtów, wymarzonej w imaginacji powszechnej, na modłę bajecznych uniesień i najśmielszych urojeń.

Chociaż obraz przyszłej Gdyni, rozłożony w „Wietrze od morza”, zyskał znacznie, wyprzedzając pracę inżynierów i robotników portowych, zatrudnionych przy budowie jednego z najnowocześniejszych i najlepiej wyposażonych portów w Europie, tym niemniej, wieszcy jego zasięg urwał się na krótkiej mecie. Nie wkraczał w granice dalszej przyszłości, nie przewidywał katastrofalnych możliwości u źródła wybujałych wymarzeń. I Żeromski, jak wszyscy, nie znał morza, ani surowych praw morskiego życia, które fundamentem Gdyni w jej ówczesnych geopolitycznych granicach wrosły już w początkach budowy kres nieuchronny, równoznaczny z niebezpieczeństwem wrogiego sąsiedztwa. Co prawda, przekonaliśmy się o tym nie prędko, bo po dziewiętnastu latach — z tragedii wrzesniowych dni 1939-ego roku. Ale też z drugiej strony, gdyby nie zagorowanie wyobraźni i ślepej wiary nad ostrożnością, dyktowaną przez rozum w okularach, czy w ogólności powstałaby Gdynia i czy mogłoby w niej zatętnić morskie życie w warunkach niewiarogodnie niepomyślnych, przy braku podstaw do właściwego rozwoju, z czwartej ekscytacji uczuć, a właściwie i dosłownie — z niczego?

PIERWSZE REALIA

W gruncie rzeczy i tego rodzaju demagogiczne pytanie, wymaga, ze względu na poznanie prawdy historycznej, osobnego komentarza. Wbrew temu, co zwykło się powtarzać o błyskawicznie szybkich efektach budowy

Gdyni, porównując ją zbyt łatwo z wyrosnięciem grzyba po deszczu, ani pierwsze mniemanie, ani druga poniekąd bezmyślna paralela, nie odpowiadają istotnym faktom. Przez długie lat sześć prawda naszego pokwitania — na morzu, pomimo ciągłych prorocत्व na temat świetnej przyszłości, trzeźwo patrząc i z bliska, przedstawiała się jednakowo żałośnie. Był to okres dezorientacji w nastroju oczekiwania, zniecierpliwienia i przykrych rozczarowań. Bo dopiero w 1926-ym roku rozpoczęła naprawdę wznastać na swoich kesonach Gdynia i dopiero z końcem tego roku zawiądo do niej w pierwszej edycji pięć własnych, polskich węglo-rudowców, zbudowanych w stoczni Chantiers Navals Francais w Caen, o nazwach „Wilno”, „Katowice”, „Kraaków”, „Poznań” i „Toruń”, które, zamiast mirażu, mogły dać ludziom pracę zamiast zaś dotychczasowych obietnic, rozpocząć racjonalnie, od podstaw, właściwą eksploatację polskich szlaków żeglugowych. Trzeba i to też pamiętać, że dopiero wtedy powołano do życia przedsiębiorstwo armatorskie, pn. „Żegluga Polska”, oparte o ustawę o przedsiębiorstwach państwowych.

Jeśli się weźmie pod uwagę absurdalne do tej pory i trudne w istocie okoliczności, towarzyszące owemu wstępnemu okresowi bytowania w bezczynności, może jako największą wartość w owocnej „frelbówce” marzeń — należałoby uznać przedziwną wtedy moc ludzkiej wytrwałości, która, daleka od zdrady, lub odstępstwa od pracy zawodowej, obranej jako cel usilnych pragnień i dążeń, wyrobić tym samym musiała niezwykle hart ducha w szeregach pierwszej generacji polskich marynarzy, czyniąc z nich doświadczonych znawców wszystkich życiowych możliwości, a zarazem pracowników morza z prawdziwego umiłowania i przekonania, dzisiaj zaś, po dwudziestu pięciu latach, doskonałych wychowawców dla nowego pokolenia, wznastającego na naszych szlakach morskich w o wiele szczęśliwszych warunkach, bez błędzenia po manowcach złudnych wyobrażeń i gorzkich rozczarowań w obliczu życia i świata.

W jak prowizorycznej skali obracać się kiedyś musiała rzeczywistość, zaświadczyłyby o tym mogły niezliczone fakty. I tak na przykład w Szkole Morskiej w Tczewie, przy zupełnym braku odpowiednich podręczników, trzeba było w pierwszych latach kombinować z profesojskiego dyktanda w odbitkach na hektografie. O dziejach Polski na morzu wiedzieliśmy prawie tyle, co się dało wyczytać z popularnej publikacji, wydrukowanej wówczas przez „Strażnicę Polską” masowo, na propagandowy użytek, z mnóstwem naiwnych błędów, bez podania autora. Z aktualnych wydanictw, cały dobytek stanowiła w 1921-ym roku jedna jedyna broszura J. Klejnoty-Turskiego, zalecająca budowę portu Rzplitej w Tczewie, ciekawa z resztą i z tego powodu, że jej autor był wtedy wychowawcą w Szkole Morskiej. Z kaszubską ziemią zapoznawał nas wyłącznie „Dziennik Tczewski”, będący nudnym źródłem lokalnych informacji. O Bernardzie Chrzanowskim, piewcy nadmorskich uroków, autorze szkiców krajoznawczych p. t. „Na kaszubskim brzegu” i „Z wybrzeża i o wybrzeżu” nikt właściwie w tych stronach nie słyszał. Znacznie popularniejszy był tu dr. Aleksander Majkowski, ale raczej z nazwiska, niż z książki, jakie o kaszubskiej ziemi napisał.

(C. d. n.)



IGRY

Dramat w 3 aktach

Akt III.

(Ulica w Gdańsku. Domy z przedprożami. Na prawo front domu Grossów, za nim wylot bocznej ulicy. Naprzeciw niego, po stronie lewej, wylot innej ulicy. Na wprost ulicy, na której końcu widać bramę miejską)

Truda (ciągnie wózek z węglami. Starczym obojętnym głosem obwołuje.)
Węgle — Węgle.

Katarzyna (wbiega z ulicy na wprost z pustym koszem, podniecona, zasapana).
Truda! Wiecie Truda, powiedzieli, że ich wypuszczą, że jeszcze dziś!

Truda (siada na kamieniu pod domem, chwyci obojętnie głowę).

Kupczycha (wychyla się okna jednego z domów, wola gorączkowo)
I co, Katarzyno, co?

Katarzyna
Ze ich wypuszczą dziś...! Powiedzieli...!

Kupczycha
Kto powiedział? Komtur?

Rzeźnik (wybiegi z uliczki)
Co powiedział, co...?!

Katarzyna (wbiegając zdyszana do domu)

Powiem wam! Wszystko powiem! Ino mojej pani muszę rzec! Niech się nie boga skrępi. Zaczekajcie, zaraz wylecę! — abyście nie odchodził!

(Wchodzi do domu)

Kupczycha (nadbiega z drugiej uliczki. Za nią Szewc.)

Rzeźnik
Z zamku wróciła? Katarzyna?

Kupczycha
Powiedzieli jej, że ich wypuszczą! Ze dziś wypuszczą!

Rzeźnik (wola w głąb uliczki)
Wypuszczają ich! Dziś!

Szewc
Komtur powiedział?

Kupczycha
Sam komtur! Katarzyna mówiła!

Platnerz (nadbiegając)
Nie gadajcie! To — żyją?

Szewc
Pewno wielki mistrz kazali ich wypuścić!

Dziewczyna (klaszcze w dłonie, wycpie ucie)

Wypuścili, wypuścili!

Katarzyna
Wypuścili...! Gadają, że ich wypuścili!

Rzeźnik
Co gadacie! Toć dopiero powiedzieli, że ich wypuszczą!

Żebrak
Wypuścili, panie! Ta młódka widziała!

Rzeźnik
Nie bądurz byle czego, łazęgo!

Dziewczyna (pokazując w uliczkę po lewej)

O, o! Nie idą to oni?

Wszyscy (podbiegają, patrzą).
Gdzie, gdzie? To? Tam?

Platnerz
Tam? Toć to starszy murarzy, co przy kościele Mariackim budują! Z tym drugim, co —

Szewc (krzyczy na dziewczynę)
Garnków byś lepiej matce pilnować poma gała, smarkulo, a nie pchała się gdzie cię nie trza!

Dziewczyna (placzkując, pokazując na Rybaka).

Oni sami krzyczeli, że już wypuścili...!

Rybak
Nie gębuj! Widzicie ją! Na starszych będzie tu —!

Platnerz
Ozorem po próżnicy ludzie miela, bogdać was!

Rzeźnik
„Wypuścili!“ A jakże. Ino ich nikt nie wdział!

(Nadchodzi jeszcze kilku ludzi)

Rybak
By to Pan Jezus dał, by my ich kiedy jeszcze zobaczyli!

Katarzyna (wychodzi z domu)

Rzeźnik
Jest Katarzyna! Gadajcie —!

Kupczycha
A jedźcie od was jeszcze wzięli?

(Thum coraz bardziej rosnący skupia się koło Katarzyny)

Katarzyna (nabrzmiała ważnością swej roli)

Szewczycha
Cichajcie, to wam powiem. Wszystko powiem. Przychodzę z panem dziś — a garnek kapuśniaku i boczek wierzowy miałam i kolacz —

Kupczycha
Boczek? We wielką sobotę?

Katarzyna
Bo mi wczoraj rzekły to knechty na bramie, że kazali sobie nasz pan przynieść boczek —

Same zeżryć chciały, psiewiary!

Głosy
Cicho! Nie przerywać! Niech gada!

Katarzyna
...a brama zawarta na giucho. Wołam, stukam — nic. Aż ci nareszcie wyjrzał tam jeden taki z pyskiem jak wilk i powiada: „Masz, stara, boczek“? Tak mi nie zjóh nie dwoi, ino do mnie: stara! To, powiada, dobrze, bo się tvoi panowie okrutnie o niego dopominają. I zaczął się śmiać. A mnie od tego śmiechu jakby nożem w serce dzgał!

Szewc
Toć gadam: same ony to żeżary!

Mieszczanin
Jeszcze se, psie syny, prześmiejch robili!

Głosy
Zjóh! Biesie nasienie! By z piekła nie wyrzeli!

Katarzyna
I bramy mi zaraz uchylily dwa insze knechty i wzięły mój koszyk. Powiadam, a oddajcież ten, com wczora przyniosła — bo ja tak codzień: z koszykiem oddaję na drugi dzień w drugim przynoszę a ten stary zabieram pusty —

Platnerz
Sześć dni już tak nasicie?

Katarzyna
Pięć dni, pięć. Bo w poniedziałek, to my jeszcze czekały — a może przecie wróca, a może —

Kupczycha i Rzeźnik
No, no i co? Rzekli wam co?

Katarzyna
Ano dali mi ten z wczora a jeden powiada. Już nie będziesz przynosiła bo ich już komtur stąd wypuści —

Głosy
Wypuści? Powiedzieli, że wypuści?!

Katarzyna
Powiedzieli — Ino (zerka ku domowi i mówi wystraszonym szeptem). Ino się znów tak śmiać zaczęli. Pami-m ja już mojej tego nie gadała i nie gadajcie wy nie! I sama nie wiem, naprawdę li wypuszczą — czy beżensteinwo jakieś nowe mataczą?

(Chwila stropionego milczenia)

(Rzeźnik do Platnerza)

Coś mi się widzi, żeby my lepiej zrobili, jakby my poszli do domu po topory, mia sto tu stać —

Szewczycha
O Jezu, panie miłosierny, co z nami tu będzie, co będzie?

Rybak
Ano dobrze nie będzie, nie.

Rzeźnik
Zmartwychwstanie Pańskie nam zrobili krzyżackie mnichy — no!

Dziewczyna
Juści miasto, by my teraz do kościoła szli wodę i ogień święcić —

To myślicie, że — co...? Ze ich nie puszczą...?

Rybak
Boga — tam puszczą! Może dawno już ich zakatrupili!

Katarzyna
Nie gadajcie! Toć pojechały panowie z Rady wielkiego mistrza prosić —?

Rzeźnik
I co? I nie wróciły! Gadają, że ich jeszcze do wieży wielki mistrz kazal zamknąć.

Kupczycha
Do wieży...?! Wielki mistrz...?

Szewc
To my się od niego pomocy doczekali...!

Platnerz (do Rzeźnika)
Za topory trza było chwycić zaraz jak oni nie wróciły! W poniedziałek! Nie czekać z milowania boskiego!

Rzeźnik
A pewno, że trza było. Cóż, kiedy wszyscy głowy potracili. Cała nasza świętana Rada jak barany, kiedy burmistrzów nie stało.

Szewc
Toć się jeden wymknął — Hukser!

Katarzyna
A sam przódzi najbardziej gębował, żeby isć!

Rzeźnik
Co z tego, że się wymknął, kiedy się stary list do nory jakiejs zaszył, że przepadł jak kamień w wodę.

Platnerz
I bez głowy ostała Rada. I miasto.

Szewc
Jak on to wywyszył ten Hukser, czym to pachnie, że się wymknął?

Kupczycha (tajemniczo)
Gadają ludzie, że wszystkich ostrzegali! Prawda li to, panie Katarzyno?

Katarzyna (ważna)
Moisłewy, moisłewy! Siła by ja mogła rzec... Ino mi zakazała pani —

Głosy
No, no? — Gadajcie! — Kto zakazował? — Czemu zakazowali?

Kupczycha (zerknęła z lękiem ku domowi).

Et, co tam — To wam ino powiem, że się nasz pan i panowie burmistrze głowily okrutnie, czy isć, czy nie isć — czy isć, czy nie isć — Bo się z tym pani mojej wypisło w tej żałostni okrutnie, jak nie wróciły.

Kupczycha
Tak się głowili?

Katarzyna
Okrutnie, okrutnie! I raz im wypadalo, żeby isć, raz znowu, żeby nie —

Rybak
A toć mnie znajomek opowiadał — ten Pieter, co dwu palców u lewej ręki nie ma — że ich wdział z daleka, jak jeszcze przed samą bramą zamkową długo stali, gadali coś, krętili się —

(Dalszy ciąg nastąpi)

JAN PAPUGA

DECYZJA

(DOKONCZENIE)

Dziwnie uderzyło go, że nie wdział ani jednego szeregowego żołnierza, mimo że przed frontem był wyraźny napis Polish Forces Club. Taki napis w języku angielskim stosuje się do klubów żołnierskich. Przesunął się ostrożnie po wysłwieczonej podłodze na sam koniec lady tuż pod ścianę. Zwyczajem angielskim sączył pomalą pint'a lager'u i przyglądał się wszystkiemu z większą wnikliwością. Jak tylko wszedł, uderzyła go zaraz wyśrubowana sztywno atmosfera. Tego nie było u Anglików. Wdział delikatne, piękne Angielki ubrane z największym smakiem, były one swobodnie wesole i naturalne. Mimo, że był to polski klub, Angielki wydały mu się bliższe od jego braci krajanów, którzy byli jacyś pysznie nadeści, a tylko nadskakująco uprzejmi dla kobiet. To je bawiło, podobało im się. Czują się widocznie źle w tej sztucznej ważności. Wdział, jak gdyby próbowały to przełamać, nie udawało im się to jednak. Panowie w cywili, bardziej elegancyjnie od Anglików, z minami przedwojennych dygnitarzy z Polski, teraz z urzędów londyńskich, palili papierosy w ćwierćmetrych „dulawkach“ z godnością Arabów. Oficerowie też wyglądali przedwojennie, jakby byli pepkiem świata. Zrozumiał teraz dlaczego żołnierz nie chodził do swojego klubu. Odrobiny skromności nie miał tu nikt, chyba tylko Angielki. Polacy jak gdyby reprezentacyjnie okazywali, że posiadają kulturę, która jeśli nie jest wyższa, to ani krzty niższa od angielskiej. Angielki wszystko to bawilo, lubiały dobre wódki i polską jurność. Józek dopił swego pint'a, szczyrniejąc, nie wdział co z sobą począć. Sierżant ciągle nie nadchodził. W końcu gniew go zalał. To towarzysztwo, chociaż tak krańcowo inne, było nie mniej wrogie niż Gauch z całą ferajną z „Balboa“. Przesłał ich się teraz bać jakąś bojaźnią inną niż fizyczną. Wstyd odleciał. Poczul, że wrogi sto-

sunek z ludźmi z urzędów nie się nie zmienił, był taki sam jak w Białym-stoku. Przecież wtedy już się buntował w strajkach fabrycznych. W końcu nadszedł sierżant, by go zupełnie dobić. Przywitani się z sierżantem zupełnie krótko, męski, krótki uścisk dłoni, bez długich zdań wstępnych. Patrzyli na siebie bezpośrednio, jakby się już długo znali. Stasiak kazal zmieszać w szklaneczkach od piwa po kilka koniaków i wódek. Ujęli szklanki w dłonie, przeszli kilka kroków i zapadli w głęboke fotele. Próbowali kilka razy trunku i zapalili papierosy. Sierżant się nagle ożywił.

— Ach Bolek, — rozpoczął mówić jakby okrzykiem zachwytu, — to był chłopak, pan jest jego kołgą czy przyjacielem? Do mojej eskadry przyszedł wprost ze szkoly, wesoly, koleżeński i zadziorny, z diabelną pasją latania. Z początku my starzy żeśmy się uśmiechali, ale zaraz musieliśmy zaprzestać. Nie bał się pierwszego lotu bojowego, ani spotkania. Szedł jak w dym. Kiedy w kilku lotach nie miał spotkania, wściekły był i niespokojny jak pies gończy. Przy czwartym locie zbił Niemca łeb w łeb. Ostrzegaliśmy go, by nie był taki pewny siebie, wtedy nam parsknął w nos. Znow przy którymś locie dopadł Niemca i zagonił go aż w wodę. To było wszystko w niespełna tydzień. Pozwolił mu wtedy odsapnąć. Świętym kompan, chodziliśmy z nim razem na dziewczynki. Nie przepadał za nimi, choć na niego leciały. Miał zdaje się jakieś zainteresowanie polityczne, wszędzie musiał wściubić swój zadarty nos. Chodził gdzieś do marynarzy na Candem Town i na Cranleys Garden do jakiegoś klubu demokratycznego, był podejrany w dowództwie. Na nieszczęście, poszliśmy raz do Ogniska Polskiego, tam schodzily się delikatne i ładne nasze krajanek, same damy. Był zdaje się odczyt, czy coś podobnego. Przedtem popiliśmy w bufecie. Kiedy zaczęli mówić nieufnie i wrogo o Rosji, zaczęli

śpiewać. — „Pokochała raz królewna wędrownego gajaka“ — potem wstał i mówi: „chodźmy, nie przerywajmy im stoletniego snu.“ — Wyszedł sam. Zaraz ściągali go do eskadry, my, kilku, jemu przyjaźni, baliliśmy się, że to się źle skończy. Były już takie wypadki, niektórzy bardzo się boją „Rubensa“. Miał dłuższą pogadankę z dowódcą. To było dziwne, że tak się z nim cackają, z kapralem. Obawiali go się, za bardzo już był znany. Po tej pogawędce był niemy i chmurny jak grób. W personelu latającym był osamotniony. Na starcie przy swoim Spitfire'rze stał jakiś sam, posepny i wyniosły. Wiedziliśmy, że nigdy nie dadzą mu wyższej szarzy. Był pilotem-myśliciem, to mu wystarczyło za wszystkie rangi na świecie. Raz mu mówię: daj spokój z polityką, to nie dla nas, my bijmy. Uśmiechnął się z sarkazmem: „tak nam mówią lesne i ziemne działki od polityki, a oni tutaj naszym biciem stwarzają sobie dygnitarstwa i podobnie myślą rządzić w Polsce, ale to im nie wyjdzie“ — wyrzucił końcowe słowo z uśmiechem. Od tego czasu jakoś nic go nie cieszyło, był zamknięty w sobie jak kamień. Kiedy wyciągałem go do znajomych panienek był jakiś niemy. Najładniejsze Angielki lasily się do niego jak kotki, nie reagował na to. Wiedzialem, że jest z nim źle. W eskadrze wszystko było bardzo napięte, oficerowie unikali go, nie mogąc go ośmieszyć. Wystarczyło, by spojrział któremu w oczy, wtedy się wszystko przecinało i był sam. — To był kawał chłopca — zaśmiał się sierżant — nie szło go nawet obić. Mówili mu za plecami „ci marynarze, to wszystko komunistyczna hołota“, a miał w sobie coś z marynarza. Był jakiś chmurny i smutny, cały pochłonięty był lataniem, nigdy nie mógł się oderwać od niemieckich baterii na francuskim brzegu. Sam odrywał się od nas, kładł i dusił maszynę na łeb, zbierał nad drzewami i tak niuziutko szedł na baterię i rozpoczynał

końbę. Często nawracał, był bardzo dokładny. Był ciągle niemy, to było okropne. Wiedziliśmy, że kiedyś przyjdzie wybuch i wtedy go zniszczy. Wiedziliśmy, że jak Niemcy nie pośpieszą się i go nie skoszą, to zgnieje w kryminale. Śmierć jakby była mu pisana, a wszyscy żołnierze lubili go coraz więcej. Obsługa szalała za nim, był dla nich więcej niż generałem. Zaden pilot nie miał maszynę tak doszykowaną jak on. Trzeba było widzieć jak on w niej latał.

Sierżant wymówił to bardzo kunsztownie z podniesieniem głowy: — Czuję ją na włos. Powietrze mu się nigdy nie obrywało spod sterów. W przylotach oficerowie startowali mówili: „patrzcie, i Wątol jest, nie ma co gadać, ma szczęście“. To było jakoś dziwne, jakby pragnęli jego śmierci. Wiedział o tym, że wielu z nich chciałoby, by nie wrócił. To musiało być okropne, jak on się czuł wtedy. Po następnym zestrzale, oficerowie nie wzięli go jak poprzednio, do swojego kasyna. Wziął wtedy swoją obsługę i jeszcze dwie inne i rozpoczął diabelne picie. „Pijmy za Polskę, chłopcy“ — wolał, jakby ilością toastów chciał jej wyznać swoją miłość. Później po pijanemu wył „krew, krew“ jakby płynąca z kraju posoka oślepiała go. Wszyscy w ryk i znow piją. Zlecieli się oficerowie z kasyna i patrzą, a tu wszyscy płaczą. Przyglądają się, jakoś chcieli się wzmieszać i patrzą się na niego. Zbladł wtedy jak kreda, jakby wszystka krew z niego odpłynęła. Oficerowie zawrócili i bez słowa wyszli. Na drugi dzień była burda. Ściągał się z porucznikiem, który ciągle chodził na urlopy. Zdał mi się, że coś mu powiedział „trzeba

się bić o Polskę — a ten mu — „to dziwne, i ty też masz Polskę”. Wstał wtedy, podobno wyglądał strasznie. Ledwo go powstrzymali. Oj, nie mogli go znieść. Aresztować go wprost, nie można było, w obłudze powstałby bunt. Na trzeci dzień zdawało się, że wszyscy nie wrócimy już z Francji. Goniło nas pięć razy więcej Niemców. W połowie Kanalu był już nasz koniec. Dorwali się do nas i walą krótkimi seriami. Wątoł zdarł wtedy i zawrócił. Odrazu rozłożył jednego Niemca, potem drugiego. Najgorszy jego wróg kapitan Skórzewski zdarł za nim, też zestrzelił jednego Niemca i zaczął się palić. Wyskoczył. Niemcy dobili go na spadochronie. Bolek zbił jeszcze jednego. Przez ten czas musieli już bić w niego dobrze, jakoś nie spadał. Maszyna jego naraz wybuchła pełnym ogniem i tak wleciał w wodę.

Sierżant przestał mówić, sięgnął po szklankę i zaciągnął się dymem.

Siedzieli jakiś czas w milczeniu. Józek patrzył na salę i nie widział ludzi, pochłonięty był zupełnie opowiadaniem, aż wymówił cicho:

— U was nie wszystko w porządku jest.

Chcemy wrócić do Kraju. Oni przecież wszystko robią, by ten powrót uniemożliwić. Gdyby to żył Sikorski — teraz mówią o jeszcze jednej wojnie, myślą jak w 63 roku. Wie pan co to jest dla nas nie wrócić do Kraju — tu zrobił dłuższą przerwę. — To nas tylko trzyma przy życiu. Każdy dywizjon był już wybity po dwa razy, i wie pan co by to było, wrócić dywizjonami, skrzydło w skrzydło, wyminąć później „Immelmana” i ucieść na naszej ziemi — no dłuższą przerwę. Jeśli tak się nie stanie, to będziemy dziadami i bandytami. My tylko w Kraju możemy przyjść do siebie i stać się z powrotem normalnymi ludźmi. Tak się nie szykuje. Wiem, że mi zaborą maszynę, okradną mnie nawet z munduru, ale do Kraju — wróć.

Kelnerka znów przyniosła im mieszanię, rozlała sobie w szklanki. Polsko-angielskie pary jakby lepiej dopasowane zabierały się do wycispa. Pannie jeszcze rzuciły zenujące miłe uśmiechy, wspomagane ramionami w jaków odchodziły chwycnymi krokami. Było już późno. Wychylił duszkiem mieszanię i wyszli. Wieczór orzeźwił ich chłodnym wiatrem. Mocny, krótki uścisk dłoni i rozeszli się.

Szedł ulicą wzdłuż parku. Często potykał się i wlatywał na ludzi, jak pijany. Powiał porywisty wiatr i upadł nagły, rzęsiasty deszcz. Ludzie biegli do bram i kolejki podziemnej Hyde Park Corner Station. Spiesznie biegli do stojącego autobusu. W pierwszej chwili chciał zrobić to samo, ale zaniechał tego. Wewnątrz wszystko w nim kotłowało, przez twarz przechodziły skurcze. Nie chciał sobą straszyc ludzi, a niemożliwością było, by zdobył się na maskę, jaką się ma w gromadzie. Samemu było najlepiej. Nikogo nie raził i nikt go nie raził. Patrzył się na mokry, lśniący asfalt w przyziemionych światłach lamp. Deszcz na nich bulgotał bankami i kropole odbijały się wysoko. To dziwne, że teraz były światła, nie tak jak przedtem czarna cia, kiedy był to ostatnim razem. Samoloty niemieckie zginęły z brytyjskiego nieba. Polecały szukać śmierci na sowiecką ziemię!

Przemókł do skóry. Ulice zupełnie opustoszały. Człapał sam w wodzie, tak mu było najlepiej, a z nim trzy cienie śmierci jego przyjaciół. Straszny wstręt go ogarnął do wszystkiego i do całego świata. Piękno mórz i wysp południowych przestroniała ohyda i podłość ludzi, którzy byli winni ich śmierci. Byłoby mu może lepiej, gdyby czarny, osłizgły asfalt zapadł się pod nim i pochłoniął go. Jakże wstrętnym bajorem był świat. Nie miałby nie przeciw temu, gdyby znów rozpytał się w mgławicę z pomiotem ludzkim. W końcu zmnęziony drogą doznał do swojego domu.

Przeważnie przebywał w swoim pokoiku. Ludzie raził go. Bał się i wstydził pokazywać im swoją zdławioną, nieskorą do uśmiechu twarz. Nakładła maski na nią nie nauczy się prawdopodobnie nigdy. Był szczerzy i wszystkich uczucia tętniły w nim wielką siłą. Sprzątająca dziewczyna w białym far-

tuszku czasami śladywała na brzegu łapczana i próbowała rozmawiać.

— Co, nie lubisz dziewczaczki? — Tak samemu to przecież smutno.

Wtedy oczy zaśmiały się na chwilę i znów zapadał w swoje odrętwienie. Przestał chodzić do Klubu Białego Orła. Czuł się tam zupełnie obcym, a nawet zdawało mu się, że raz! swoim prostactwem swoich dostojnych krajanów. Ich obcałowanie dionki podobowało się rozleniwionym angielskim mieszczankom. Ich czułośćowa grzeszność wydawała mu się obudną. Gdzieby miał się pchać między zawodową inteligencję i nadętę ziemiaństwo. Przepaść między nim i nimi była taka jak i w Kraju. Co najdziwniejsze, to stare, przedwojenne idee głosili przez dwu potężnych dygnitarzy, z których jeden był chłopem, a drugi robotnikiem, to wydawało mu się diabelnie chytre. Było tam jasno od gwiazdek, a nie było żołnierzy, choć miał to być żołnierski klub. Bardziej lubił Anglików, byli bardzo przyjaźni. Ich wyuczona grzeszność była bez żadnych uchybień. Bardzo byli zainteresowani obokrajowcami, a dla Polaków specjalnie wszędzie okazali swoją gościnność.

Raz w sobotę rano zaszedł do Marchant Navy Club w okolicy Picadilly Circus, był akurat poranek przy mikrofonie dla wszystkich alianckich flot handlowych. Było bardzo swojsko i weselo. Duża sala była zapełniona różnorodnymi marynarzami. Dziewczeta bezpłatnie roznosiły piwa, lemoniady, kawę, ciastka. Naraz wszyscy podnieśli głowę i rozszedł się szmer zachwytu. Gromadka dziewcząt w mundurach marynarskich przecisnęła się od drzwi. Kształtne nogi przeświecały w czarnych pończoszkiach, czarne sportowe pantofle świeciły się, skromność i staranność ich ubioru prezentowały jej szykownie i elegancko. Podrywali się chłopcy, oddając im swoje miejsca. Przy jego stoliku usiadły dwie. Jedna była wysoka, wyniosła. Zainteresował się nią zaraz kanadyjski Francuz i Norweg. Druga mała, nie rzucająca się w oczy, kilka razy umaczała usta w piwie, siedziała naprzeciw niego. Jej buzia, ślicznie wykofrony podbródek, nos, duże, ciemne oczy z aksamitnym odcieniem. Skóra biała, delikatna jak jedwab, bujne włosy starannie wypielegnowane. Kiedy ostrożnie zwracał na nią wzrok, widział, że i ona robi to samo. Raz nie uciekł. Patrzyła także na niego, oczy jej nabierały uśmiechu. Uśmiechnął się także. Uśmiech już tak dawno zeszedł mu z twarzy, ale taki jak teraz, nie pojawił się chyba nigdy.

— Czy podobą ci się tutaj?

— Tak, ładnie jest — odpowiedział sztucznie ze wzruszenia.

Najbliżej niego siedział Norweg.

— Także Norweg?

— Nie, Polak.

— Och, Polisch — wydarł jej się zadziwiony głos.

Znów wpatrywała się w niego z większym zainteresowaniem. Wydawał jej się innym od Polaków. Od tych chłopców tak niespokojnych, pełnych życia, z ciągle tańczącymi oczyma. Jego chmurne czoło z dwoma orczykami w liniami nadawało mu właściwy charakter, bure oczy wydały jej się zmęczone i nieśmiałe. Józek siedział w ciągłym upojeniu. Słowa same wyrwały się, śpiew Very Lyn oderzał go. Nie śmiał się ze skrzączych dowcipów zapowiadającej Dorris Hare, za bardzo trwał w swoim uniesieniu. Potem, już na ulicy, nie wiedział sam jak się to stało, że umówił się z tą dziewczyną na następny wieczór. Wydało mu się teraz wszystko jakieś inne, radosne i miłe. Jakieś parze ulicznej śpiewającej „Paubla” dał pół korony. Przystanął i słuchał ich śpiewu, dopóki nie poszli dalej.

Spotykał się często z Eileen. By się do niej upodobić, kupił sobie nawet brązowe ubranie. Chodził na spacer, do kina, kilka razy zaciągnęła go nawet do teatru. Ciągły śpiew w operze „Rigoletto” wydawał mu się jakimś sztuczny. W komedii „Blide Spirit” domyślił się, że rzeczywistość byłoby okropne, gdyby umarli nawiedzał żywych, żywym są oni już nie potrzebni. Najbardziej podobały mu się rewie, jakby był głodny bujności i radości życia. Jej delikatność, subtelność i wrażliwość dawała mu tyle radości, że zupełnie obeształ się go fizycznie i zbijała z nóg. Był nieraz jak pijany. Przyjmował to wszystko jak dziecko, żarliwie, bez ironii. Był w ciągłym radosnym napięciu. Czytał każdy odcień nateżenia na jej twarzy, każdy uśmiech czy błysk oczu. Jej chód nie miał nic kokieterii, jej zdrowe, kształtne nogi stapały pewnie, spreżyście, jak nogi małej dziewczynki. Eileen z początku,

jak każda Angielka, miała w sobie delikatną rezerwę, dystans. Widząc jednak ciągle upojenie na jego twarzy, pragnęła teraz zbliżenia. Zdawało jej się, że jest nieśmiały. Stawała się coraz więcej kobietą. Jej dotyk dionki był dłuższy, jakby coś więcej mówił. Wpatrywała się długo w jego bure, swoimi czarnymi oczyma. Jej oczy mówiły to, czego nie mogły powiedzieć słowa. Śmierć swoich przyjaciół którą nosił w sobie, zastąpiło teraz życie. Zdawało mu się, że serce rozwali mu pierś, tę pierś, której nie dał Gaucho rady swoimi pudowymi pięściami. Kontrasty ich grały cudowną pieśń. Było w niej wszystko. Z początku bał się swej przytaczającej siły, spłotu ramion. To było nie do uwierzenia. Eileen była z cienikiej, szlachetnej stali, takie było jej kunstownie cyzelowane, delikatne ciało. Kiedy u niego w pokoiku pił jak z czary życia jej piśszczoty, ją całą, zrozumiał, że w czasie największego, przytaczającego go bólu, nawiedziło go szczęście. Chciał, by tak było wiecznie, by już nie odeszło. Raz w największym upojeniu powiedział jej to. Eileen wtedy zaśmiała się:

— Och, mój drogi, nie myślmy tak, wiesz przecież, że cię kocham. Czyż nie dobrze nam jest. Wojna się skończy, pojedziesz do swojego kraju. Będziesz szczęśliwy między swoimi. Ojciec i mama chcą bym wyszła za kapitana Gwardii Szkockiej. Mówią, że tylko oni mi odpowiadają, ma nazwisko, stara dom, lasy. Choć ja bardziej lubię porucznika Marynarki Wojennej. Jednego z tych dwóch muszę wybrać.

— A kochasz ich?

— Niemądry jesteś, kocham tylko ciebie. Z nimi jest zupełnie inna sprawa, to ma być na całe życie. Oni mogą mi ułożyć życie, będę mieć dzieci...

Bładość przeloniła mu twarz. Zobaczyła to, przysunęła się i objęła go ramionami.

— Ach, nie mówmy tak głupio. Prowadziłam klasztorny tryb życia, tak mnie chowali. Ja też chcę mieć trochę radości. Wiem, że małżeństwo nie będzie dla mnie szczęściem, ale tak już musi być — mówiła, jakby skarżyła się.

Nie mógł jej odtrącić, za dużo by jej wyrządził krzywdy. Eileen była teraz najpiękniejsza, czuła i kochająca bez żadnej rezerwy. Okazywała to nawet kiedy była między ludźmi. Raz, kiedy ją odpowiedział do domu, do dzielnicy willowej na peryferii pełnej zieleni i drzew, zaczął wszystko rozumieć. Ludzie i wszystko było tu pełne pewnością siebie, ważności, spokoju, jakby na to składały się nie dziesiątki, a setki lat. Zrozumiał wtedy swoją odrębność, swój niepokój wódcęgi, gdzie nie było stałe. Zrozumiał lepiej Eileen i przepaść, jaka była między nimi. To były dwa różne światy nie uznające się wzajemnie. Jej życie to były ciągle szkoły. Przed pół rokiem wróciła ze szkoły klasztornej dla dobrze urodzonych panienek, gdzie uczyły się dobrych manier, muzyki, śpiewu, tańca, literatury i zajęć gospodarskich. Szkoła ta przysposabiała je tylko do dobrego ożenku. Podtatali młodzieńcy bardzo cenili dziewczęta z tej szkoły. Tam nosiły książki na głowach by ich chód był pełen dystynkcji. On układał łańcuch kotwiczny, o dziesięciokilowych ogniwach, cały w pocie i błocie dennym, by zarobić na chleb. Podobna jak An — myślał. Tam trzeba było mieć tylko wórk dolarów, to jeszcze coś więcej, tradycję. Czy jego los miał być taki jak Staśka? Eileen wiedziała, że już coś się porwało, przywarła więcej do czary, jakby chciała wypić jak najwięcej przed końcem. Raz wybrali się do Regent Hotel'u. W obrzypym udywanionym hallu, na kanapkach i miękkich fotelach siedzieli elegancyjni ludzie i pili gatunkowe wódki. Siedzieli obok siebie i przyglądali się wszystkiemu. Obok nich siedzieli trzech majorów, jeden z nich amerykański. Mówili o wojnie. Dochodziły go strzępy rozmowy.

— Plebs podnosi straszne larum o drugi front, ale jeszcze nie pora. Rosja nie straciła jeszcze wszystkich sił. Musimy odczekać, bismy potem mogli jej dyktować warunki.

— O hell. — wrzasnął Amerykanin — z nią jest przecież dobrze wojna.

— A co będzie jak będzie za mocna i będziemy musieli zostawić ją w spokoju — dorzucił siedzący jakby na uboczu.

— Wtedy trzeba będzie rzucić dużo pieniędzy i odbudować przemysł niemiecki — mówił pewnie Amerykanin.

Józek przyglądał im się, Anglicy byli w poważnej zadumie. Amerykaninowi trząsał się brzuch i całe jego wielkie ciało, kiedy mówił z nadmiaru energii. Wyglądał na typowego busi-

nesmana, prawdopodobnie teraz też był dostawcą, pracującym w intendurze. Następnego wieczora wybrała się z Eileen na Allgate — dla uromacenia. Tu był brukowy pub. Robotnicy stali lub siedzieli na prostych, mocnych krzesłach i pili kwaśne piwo, chemiczne bez chmielu. Też rozmawiali o wojnie. Kiedymówili o Rosji, ich czoła chmurzyły się. „Cieźko tam mają, ale w nich jest tylko nadzieja”, drugi mówił — „mają inny rząd, biją się przeciw o swoje”, ktoś dorzucił — „Niemcy nam przecież nie odbiorą pint'a piwa”. Zaśmiali się, stuknęli i wypili zdrowie Czerwonej Armii.

Długo o tym myślał. Znów była dwa światy. Jakże mało prości ludzie chcieli za swoją ofiarności i trud wojenny, spokoju i pint'a piwa, drudzy byli niesasyeni myśląc o rozboju i grabieży. Czytał w gazetach, że w Arsenalu w Wolwich, robotnicy fabrykujący armaty wywiesili przez kilka dni czerwoną flagę, w hołdzie dla robotników sowieckich — czyżby brali z nich natychmiast. Kiedy później szli pieszko, całe robotnicze dzielnice usiane były grudem. Rezydencyjne dzielnice Eileen nie były dotknięte jednym nabojem. Wyglądało to jak znowa bogaczy. Anglicy chyba w takim samym porządku bombardowali Niemców. Tak niewolnicy z fabryk Białegostoku i całego świata, mieli ponosić cały trud pokoju i toczyć krew w wojnie dla korzyści tego świata. W tym wszystkim był diabelny bezsens dla jednych i cholerna chytara podłość drugich.

Z Polakami w Białym Orle też się zupełnie porwało. To były zupełni panowie. Zresztą nie mieli czasu, zagonięni o godne stanowiska i chytro marzący o Polsce. Przecież demokracja nie mogła być w jego kraju, jeśli ci panowie wrócą. Już teraz myśleli o zyskach, przywilejach i godnościach. Elita starała się zamiennie Bloomsbury na Ciecchocinek, tam był sielankowy żywot panów. Starali się imponować swoim odseparowaniem. Nie podobało im się, że mety londyńskie bezkarnie w biały dzień wznosiły okrzyki antypaństwowe, komunistyczne. Ci panowie w Kraju krwawo na barkach niewolników pisali swoją historię Polski. Byli piomienne zrywy, lecz ci co pisali historie, miażdżyli je, by im nie przeskądano w pisaniu. Przecież oni tylko, byli do tego upoważnieni przez Boga. To wszystko było bagienko, z wierzchu obłudnie, złudnie lśniące. Czł z wleził w nie i zagłębiał się coraz głębiej.

Na wszystkich frontach były niepowodzenia. Sowiety krwawo walczyły o swoje życie prawie z całą armią niemiecką i ich wasalami, głęboko wewnątrz własnego kraju. Panowie z Białego Orła namietnie politykowali, coraz głębiej zapędzając się w ślepy zaułek bez wyjścia. Szyły nowe czasy. Woleli oni własną zagładę niż iść w postępie. O Sikorskim dużo mówili prości żołnierze, że w Szkocji oficerowie planowali na niego zamach, że coś podobnego było także na Bliskim Wschodzie u Andersa. W nim się skończyły ich nadzieje. Alianci nie mieli chęci do wojowania. Panowie z Orla Białego byli zadowoleni z sowieckich niepowodzeń. Czyżby im wcale nie chodziło o Polskę, przecież Rosja to był jedyny kraj, który mógł rozbic Niemców, a nie Anglia i Ameryka. Polaków w Kraju gineło każdego roku prawie półtora miliona, w piecach, w mordach ulicznych, każdy Niemiec mógł ich zabijać bezkarnie. Spazm go chwycił za krtani, Niemcy mieli ich wszystkich wyciępi. Jakże dobrze teraz rozumiał szaleństwo Bolka. W Rosji się ważył losy wojny, stamtąd przyjdzie wygrana lub przegrana. Co się stanie jak Rosja przegra. Zimny dreszcz wstrząsnął nim. Nie myślał teraz wcale o Rosjanach, a o swoich krajanach, których Niemcy wyciępią do szcztu. Nie może się temu wszystkiemu przyglądać bezczynnie. Trzeba pomóc Sowiетom, tylko oni wojnę przyjęli na śmierć i życie. Przecież im nie pomogą lordowie angielscy.

Po tym wszystkim nie mógł sobie nigdzie znaleźć miejsca. Wszystko go gniewało, był zdolny do nieobliczalnych wybuchów, które by mu przyniosły zagładę. Uspokoił się, kiedy się dowiedział, że z Middlesbrough idą konwoje do Murmańska z różnym sprzętem wojennym. Spakował się szybko. Nie wahał się nic, zęgnął Eileen. To ona mówiła: „Nigdy o tobie nie zapomnę, zawsze kiedy będziesz w Anglii przyjdź do mnie”.

Jan Papuga.

MŁODZI POECI WYBRZEŻA

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

JESIENIA

Oczy zasłonił krajobraz, któremu szybciej do morza
w szepcie słów twych dalekich płynie stukotem pociągu
oto słoneczny widnokrąg smutki przetrwał jak pożar
wsluchany w rytm przeznaczenia dobijam odległych brzegów.

Z przemian serdecznych nie warto jak wina saczyć z kielicha
smak twych ust nie zostanie na wargach szernalych spiekota
i tylko na wyspach dalekich gdy słowa wykwitną cicho
wspomnisz błękit mych źrenic i dłoni wieczorną tęsknotę

A tu już jesień zaślśniła i tylko wieczorem jest smutno
ścigam wyblakłe obrazy idący parku aleją
wszystkie wczorajsze wspomnienia umarły z łęku przed jutrem
i tylko wicher jesienny rozwiewa ostatki nadziei.

Oliwa jesień 1946

ANATOLIUSZ JUREŃ

Z cyklu „Szkice Słupskie“

ZIEMIA

Wpiłem usta w tę ziemię jak w dymiące dzbanki
Białej Odry — tłustego pachnącego mleka.
Pod stopą kwiat się rozkwilił błękitną gamą;
Wita mnie jej spojrzaniem, przybysza z daleka.

Ból tu łamię modlitwą wiązane słowa.
Wdzieram się w popiół wieków i pleśń niby karty
Z księgi ziemi obrywam. Nocą huczy sowa.
Nad Odrą wolnej pieśni rozstawione warty.

HENRYK PIOTROWSKI

PRZED SNEM

Przyjdź dziewczyno do mojego snu,
W marynarskiej kajucie tak pusto.
Chciałbym dzisiaj przy sobie mieć znów
Cały czar Twój zaklęty w Twych ustach.
Nasz poczciwy sternik Ignacy,
W cichej znowie z busolą i wiatrem,
Poprzez nicotę chce przepłynąć ukradkiem
Naszym w ciszy zagubionym statkiem.
Tlusty księżyc — marny akrobata,
Po wierzchołkach masztów skacze.
Lada chwila — spadnie i utonie.
Siwe chmurki będą płakać po nim.
A młodemu Jasiowi na wachcie
Złote gwiazdy proponują myśli
O dalekiej, zielonej wiosce,
Czarna woda do snu kołysze.
Przyjdź dziewczyno, przez ciemność, przez ciszę!
Ja tak tęsknię, tak tęsknię za Tobą,
Jak za wiatrem żaglowe płótna...

HENRYK PIOTROWSKI

MOGIŁY PARTYZANTÓW

Irenie T.

Nasze usta szepczą o zmroku,
Naszych krzyży nie trzeba się bać.
Nie potrzebne te łzy w twoich oczach.
Widać — tak się musiało już stać...

Jeśli nagle liście zaszeleszczą,
Nie odwracaj się trwoźnie — to my.
Nasze kroki żyją tu jeszcze,
Choć już krew wypłynęła z żył.

Nie płacz. Trudno. Nic się nie zmienia.
Ludzkie łzy już tu nic nie znaczą.
Patrz — ta wierzba to nasz sprzymierzeniec.
Ona naszą tragedię wypłacze.

Nasze usta szepczą cichutko.
Liśćmi wierzby różańce skarg.
Kiedyś, kiedyś, była radość i smutki
I pragnienie dziewczęcych warg.

Kiedyś były imiona, nazwiska —
Dziś już tylko na groby nas stać.
Nic się nie bój, podejdź do nas blisko.
Naszych krzyży nie trzeba się bać...

Swita. Niebo błednieć zaczyna,
Každy z nas już ci wszystko wyznał.
Dziękujemy ci wiejska dziewczyno

FRANCISZEK FENIKOWSKI

SZCZECIN

I.

Noc falami szturmuje wybrzeże
i zalewa miasto w mgłę zdradzieckiej;
giną czarne kominy i wieże,
tonie stary pancernik niemiecki.

Fala mroku za falą się tłoczy
na wrak, w rafach ugrzęzły barykad,
strachem ślepną luf armatnich oczy
i ostatni cichnie komunikat.

Słyszysz: krąży krzyk — mewa zraniona:
„Deutsches Panzerschiff „Stettin“ versunken...“
W mrok wyciągnij, przybyszu ramiona
i do ziemi przywrzyj pocałunkiem.

II.

A gdy noc o świcie rusza dalej,
na chmur skrzydłach uchodząc, jak burza,
z piany mgieł i mroku groźnej fali
miasto się nowym statkiem wynurza.

Płynie zwolna rzeką srebrno-mglistą,
co polyska w mroku, jak miecz nagi...
Spójrz! Na mostek wszedł Świt sygnalista,
Zórz podnosi kolorowe flagi.

Pojęliśmy te świtu sygnały,
nim wybuchła we mgłę słońca raca,
w rękach chustki radością powiały.
W Odrę statek wpływa: Szczecin wraca!

(pisane w Szczecinie, 1945 r.)

WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI

ZACHÓD W SŁOŃCU

Zachodzące słońce zawisło nad wodą
w różowej mgłę. Oparłaś głowę na dłoni —
Czemu straciłem nad Tobą władzę?
Widmowa mglista ospałość
w rozkroplonym wichrowatym szumie
Oczy miałaś głębokie
zielone —
Czy odbije się w nich zachód
pocięty czerwonymi niemi?
Ciepło oddychały piaski, gdy dziewczęta
wykapanie samotnością obciągnęły ręce
chłodnym wiatrem
i kazały się pieścić. —

ZYGFRYD SAWKO

PIERWSZY ŚNIEG

Myślisz, że śnieg tej zimy
spojrzaniem można poplamić?
Chciałbym błękitne obłoki wstrzymać,
całować spiekłymi wargami.

To uczucie w śnieżycy szumi
śnieg tratuje w miejskim ogrodzie
Rozkaż wszystkie uczucia stłumić,
żeby z sercem obutym nie chodził.

Żal ci bieli zimowej? Z obłoków
chłodem spadnie tyle jej na serce,
że aż wiosną, aż w przyszłym roku
przyjdą dzieci do parku grać w serso.

WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI

BIAŁA PRZEJAŻDŻKA

Biała bluzeczka rozłupana wiatrem
nasażka słońcem
Biała dziewczyna
śpiewa o wietrze czeszącym włosy
Nieruchome spojrzenie poruszyło morze —
W roztopionym srebrze drgało słońce
Żagiel jest biały jak czapeczka —
przechyla się

Kształtowanie się morskich wybrzeży

Od czasu, kiedy u świtu ery archaicznej, w wyniku kondensacji gęstej, podówczas parowej, atmosfery naszego stygnącego globu, powstały pierwsze oceany i morza, układ ich i zasięg ulegał wielokrotnym zmianom. Wyrażenie „wielokrotnym” nie jest bardzo ścisłe, gdyż zmiany te dokonywały się właściwie bez ustanku, w sposób mniej lub więcej ciągły. Dokonują się one zresztą i dziś, w naszych niejak o oczach, tylko mierzone w skali ludzkiej są tak powolne, że uchodzą za bezpośredniej obserwacji.

Najstarszym bezwątpienia oceanem, którego położenie przez cały okres dotychczasowego trwania ziemi nie uległo naogół większym przesunięciom, jak Pacyfik, o dnie simiatycznym*, wypełniający — jak twierdzą niektórzy — wyrwę w szalicyznej skorupie, powstałej na skutek oderwania się od ziemi księżyc, w jeszcze dawniejszej niż powstanie mórz epoce. To simiatyczne dno Pacyfiku jest najstarszym obszarem powierzchni globu, w przeciwstawieniu do pozostałych terenów, na których w ciągu miliardów lat dalszych epok geologicznych odbywały się najróżniejsze procesy geologiczne, między innymi będące przeważnie skutkiem ruchów kontynentów. Przy zbliżaniu się kontynentów do siebie następowało wypiętrzanie się gór i podnoszenie się lodów; przy ich rozchodzeniu się, tworzenie zapadłisk i basenów, wypełnianych zaraz wodą.

Wegener, Staub i inni badacze wyczarowali z mroków przeszłości całą sagę o losach istniejących kiedyś prakontynentów: północnej Laurazji i południowej Gondwany (oczywiście, dziś tak nazwanych), napierających na siebie lub oddalających się od siebie cyklicznie pod wpływem obrotu ziemi i prądów termicznych w magmatycznym podłożu skorupy ziemskiej, oraz o tworzących się i ginących w rytmie tych ruchów oceanach i morzach.

Podnoszenie się i opadanie lądów czy ich części bywało zresztą nie zawsze tylko skutkiem poziomych ruchów kier kontynentalnych. Często przyczyną tych zjawisk były zaburzenia równowagi spowodowane innymi okolicznościami. Na przykład narastanie w pleistocenie czapy lodowcowej w północnej Europie powodowało stopniowe obniżanie się obciążonego tą czapą lądu. W konsekwencji, gdy lodowiec stopniał, odciążony ląd zaczął dźwigać się po woli ku górze i dziś nawet jeszcze, mimo, że od chwili wycofania się lodowca z Europy minęło ponad 16.000 lat, daje się zaobserwować powolny ruch ku górze półwyspu Skandynawskiego, z którego terenów lodowiec znikł najpóźniej.

Tego rodzaju ruchy są również jedną z przyczyn zmieniania się zarysu linii brzegów i mają wpływ na poziomie ukształtowanie się mórz i oceanów.

Dalszą przyczyną zmian w układzie powierzchni morskich może być zmiana ogólnej objętości wód na powierzchni globu, związana z procesami klimatycznymi. W pleistocenie, gdy tenże sam lodowiec związał znaczne ilości wód w postaci ogromnej czapy lodokuli, objętość wód w stanie płynnym była mniejsza niż jest dziś, średni poziom wód był niższy i odsłonięte były tereny przybrzeżne, dziś zalane wodą. Stopienie lodowodu Grenlandii lub Antarktydy, gdyby kiedy nastąpiło, niewątpliwie podniosłoby również ogólny poziom wody w oceanach o kilka metrów i spowodowałoby zatopienie niżej położonych obszarów przybrzeżnych, niezależnie zupełnie od ruchów wykonywanych przez kontynenty.

Obok tych najwyższej skali procesów, mających wpływ na kształtowanie się brzegów morskich, procesów,

wobec których ludzkość jest całkowicie i absolutnie bezsilna, ale których rytm na szczęście jest dla nas niedostrzegalny, istnieją jeszcze procesy drugorzędne, zmieniające bezustanku zarys linii brzegów morskich.

Ta druga, podrzędniejsza kategoria zjawisk kształtujących wybrzeża jest objęta nazwą „abrazji”. Skala czasowa zmian wynikłych z tego procesu jest już o wiele mniejsza, o wiele łatwiej uchwytna i ogranicza się do stosunkowo wąskiego paska, wzdłuż którego stykają się ze sobą morze i ląd. W procesie tym główną rolę odgrywa dynamiczna działalność fal, prądów morskich, czynników atmosferycznych, działalność, która przekształca zarys brzegów ustalony jako efekt procesów wyższego rzędu. Przekształcanie to zwykle idzie w kierunku wyrównywania skomplikowanej najczęściej, nieregularnej, pierwotnej linii brzegu.

Mechanikę tych drugorzędnych procesów, powodujących przekształcanie się zarysu wybrzeża, najłatwiej będzie można zilustrować na przykładzie tzw. wybrzeża transgresyjnego, tj. takiego, w którego głąb, wdarto się, na skutek omawianych poprzednio przyczyn wyższego rzędu, morze. Przykład ten będzie dla nas tym bardziej pouczający, że polskie brzegi Bałtyku należą właśnie do tego typu wybrzeży. Załączone rysunki (wyjęte z dzieła Johnsa) przedstawiają kolejne fazy przekształcania się wybrzeża skutkiem abrazji.

Rys. 1 przedstawia fazę pierwotną — morze właśnie wdarto się w głąb lądu i oblewa utwory krajobrazowe o charakterze ściśle lądowym. Doliny rzek zamieniły się w zatoki, wzgorza stały się wyspami lub półwyspami. Na linii nowego brzegu morze nie zdążyło jeszcze wykonać żadnej pracy, nie wywarło jeszcze żadnego wpływu na jego ukształtowanie.

Na rysunku 2, obrazującym (tzw. fazę młodzieńczą, widzimy już pierwsze ślady pracy morza: „nadgrzyzione” czoła półwyspów, które jako najbardziej wysunięte w morze najbardziej są też na jego ataki narażone. Zaczynają one przybierać charakterystyczną postać przylądków morskich o stro-

mych, tzw. klifowych i odartych z roślinności ścianach.

Kształt ten „zawdzięczają” przylądki pracy fal idących od morza. Na wysokości zwierciadła wody, tj. tej, na której siła uderzenia fali jest największa, następuje wymycie materiału ze zbocza półwyspu i odłożenie jego na dnie przy brzegu. Podmycie zbrocza na wysokości zwierciadła wody, powoduje obrywanie się wyżej położonych mas gruntu i odzieranie całego zbrocza z ochronnej warstwy roślinności. Zniszczenie roślinności ułatwia niszczące współdziałanie deszczu i przyspiesza abrazję. Wysoki brzeg cofa się, pozostawiając przed sobą stosunkowo płycką podwodną ławę — tzw. taras abrazyjny pokryty rumowiskiem.

Rumowisko to, będące rozkruszonym materiałem zebrany z ogolonego zbrocza, narasta w ławice, przylegając do niszczonego brzegu. Ławica ta z czasem wyrasta nad wodę, a jej wynurzona powierzchnia nosi popularne miano plaży. Materiał tej ławicy znajduje się w ciągłym ruchu, wywołanym falowaniem morza i prądami przybrzeżnymi, będącymi zwykle efektem długotrwałych wiatrów.

Fale poruszają skruszony materiał rozmaicie. Gdy podchodzą do brzegu prostopadle, wówczas wprawiają go tylko w ruch wahadłowy, ku brzegowi i powrotem. Gdy podchodzą ukośnie, przenoszą go zrykami wzdłuż brzegu. Gdy takie ukośne falowanie trwa czas dłuższy, to przenoszenie materiału odbywa się na długiej, wielokilometrowej przestrzeni. Podobny efekt wywołują prądy przybrzeżne, przenoszące rumowisko kilometrami i setkami kilometrów wzdłuż brzegu.

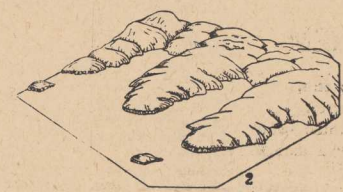
Z tego wędrującego rumowiska morze buduje swe nietrwale twory: mierzaje, kosi, haki... Na rysunku 3, przed stawiającym fazę późnej młodości brzegu widzimy wiele już takich utworów. Wszędzie tam, gdzie linia brzegu, wzdłuż której odbywa się ruch rumowiska nagle się „załamuje”, „potworzyły się długie języki piasku, znane nam dobrze jako mierzaje (6, 8, 10, 12, 15). Wyspa sąsiadująca z brzegiem, otrzymała z nim połączenie pomostem piaskowym, który nosi dziwną wioską nazwę „tombolo” (16). W głębi zatoki u ujść rzek z rumowiska, przez rzeki te niesionego utworzyły się tzw. stożki usypowe, wzbogacane przez materiał niesiony przez fale od morza. Szukając sobie drogi przez te piaskowiska, przekształca, rzeka podzieliła się na liczne ramiona, tworząc delte...



Morze jednak w pracy swej nie ustaje, a czynnik niszczyielski przeważa w niej nad twórczym. W miarę upływu wieków i dziesiątków wieków, mierzaje ulegają rozmyciu, przylądki dalej się cofają, tworzą się mierzaje w innych miejscach. Z zatok pozostają coraz mniejsze powierzchnie wodne, które w końcu ulegają zamknięciu przez narastające wzdłuż zasadniczej linii brzegu mierzaje i przemieniają się w przybrzeżne jeziora. Fazę tę widzimy na rysunku 4, nazwaną ją fazą dojrzałą.

Ale i te twory są przejściowe, niszczenie postępuje dalej. Wszak ogólna tendencją sił przyrody, działających na powierzchni ziemi jest denudacja — całkowite zrównanie wszelkich wyniosłości. Znikają po pewnym czasie jeziora przybrzeżne, morze wgrza się już w głęboko ognis położone obszary lądu. Brzeg wyrównuje się całkowicie. Wszędzie widzimy, kilometrami ciągnące się, wysoki, stromy, poszarpany klif. Brzeg wszedł w fazę ostatnią — starczą (rys. 5).

Niewątpliwie w ciągu miliardów lat dziejów naszego globu niejednokrotnie (Dokończenie na str. 7-ej.)



SLAWOMIR SIERECKI

ZAGADKA ATLANTYKU

W okresie, kiedy chyże kilpry były rekordy herbacianych rejsów, zdarzyła się historia, jaką gazety całego świata nazwały „Największą Zagadką Atlantyku”. Wypadek był tak niesamowity, że wobec niego bledną najfantastyczniejsze opowieści Poe’go. Nic dziwnego, że posłużył za tematy do powieści setkom literatów obydwoh kontynentów.



Śledztwo nie dało żadnych pozytywnych rezultatów, „największa zagadka Atlantyku” nie została wyjaśniona, a setki dni nikarzy przez długi okres czasu pastwiło się nad zagłosem i milionami czytelników, wysuwając co do losu załogi coraz to okropniejsze hipotezy. W ten wir domysłów i przypuszczeń dał się nawet wciągnąć sławny twórca Sherlocka Holmesa — Arthur Conan Doyle!

„Aż oto, na krótko przed ostatnią wojną — zjawił się pewien człowiek, który za cel postawił sobie rozwiązanie tajemnicy statku - widma. Zamierzenie naprawdę godne podziwu, zważywszy, że od wypadku upłynęło już wtedy przeszło pół wieku. Sprawa została wyświetlona, a dzieje tragicznego rejsu „Mary Celeste” odarte z legendy!

Ów nieznamy nazywał się Laurence J. Keating, a sprawę pokierował — wychodząc z zupełnie innego założenia niż wszystkie dotychczasowe przygodni i nieprzychylni kryminaloży. Według niego kapitan Moorhouse złożył niezupełnie odpowiedzialny raport. Dlaczego to zrobił i jak historia miała się naprawdę, wyjaśniło zeznanie jednego żyjącego wtedy jeszcze świadka tragedii — 82-letniego kucharza z „Mary Celeste”.

Jakie były więc prawdziwe dzieje „Mary Celeste”?

W październiku 1872 r. zawinął do portu w Nowym Jorku mały bryg „Mary Sellars”, „przechrzczonej” tam przez nowych właścicieli na „Mary Celeste”. Kapitanem jego był starszy i słabego charakteru człowiek, nazwiskiem Briggs, który w podróż zamierzał zabrać ze sobą żonę, a prócz niej... jej fortepian!... Na skutek nieporozumień z Komisarjatem Żeglugi i trudności w zwerbowaniu załogi, kapitan Briggs zdecydował się przyjąć pomoc kapitana Moorhouse’a — szypora żaglowca „Dei Gratia”. Za częściową wypożyczoną i zwerbowaną załogę, której liczba sięgała połowy etatu (czyli, że prócz kapitana, jego żony i oficera — tworzyli, ję siedmiu ludzi) — kapitan Briggs oddał na pokład „Dei Gratia” część swego ładunku, którego ilość

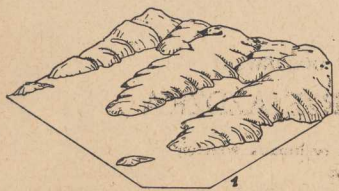
przekraczała możliwości obciążenia jego brygantyny. „Dei Gratia” — wypłynęła pierwsza, a spotkać miała się z „Mary Celeste” dopiero koło Azorów, gdzie też kapitan Briggs zobowiązał się zwrócić trzech wypożyczonych mu marynarzy i dokompletować załogę.

W czasie podróży zdarzył się nieszczęśliwy wypadek, który pociągnął za sobą prężne następstwa. Przy sztormowej fali fortepian przyniósł tak nieszczęśliwie żonę kapitana, że ta w dwa dni później umarła. Był to właściwie początek tragedii. Wkrótce potem kapitan zaczął zdradzać objawy pomieszania zmysłów, które postępowały tak szybko, że dowództwo musiał objąć pierwszy oficer. Wreszcie, którejś nocy, kapitan Briggs w przystępie ataku szalu wyskoczył za burtę i utonął... Przyniebiona załoga nagle zaczęła szmarzać, a w kłótni z nowym dowódcą doszło do bójki między oficerem, a jednym z marynarzy. W rezultacie, oficer zwyciężył, jego cios pozwał jednak marynarza życia. Obawiając się sądu, nowy dowódca brygantyny — wraz z dwoma marynarzami — opuścił statek podczas postoju w porcie Santa Maria, odpływając na ląd w łodzi tubylczego przekupnia. Na „Mary Celeste” pozostało więc tylko trzech ludzi wypożyczonych z załogi „Dei Gratia” i kucharz.

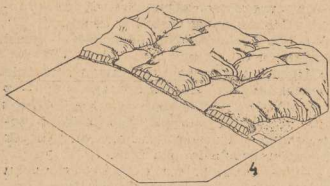
Wszyscy czterej popłynęli na swym statku naprzeciw kapitanowi Moorhouse’a, którego rzeczyciel wkrótce spotkał. Nastraszony kucharza, odpowiedziałnością za bunt na statku, Moorhouse doradził mu opuścić statek, co tamten też uczynił. Ponięwał pozostałi trzech marynarze należeli faktycznie do załogi „Dei Gratia”, — Moorhouse mógł zupełnie gładko ekłamać, że „Mary Celeste” została znaleziona bez załogi, a co za tym idzie — mógł domagać się wypłacenia mu wysokiej nagrody za uratowanie brygantyny.

Owi trzech marynarze, jedyni pozostali świadkowie tragicznego rejsu — nastraszony podobnie jak kucharz, tajemniczy oczywiście nie zdradzili. I tak powstała legenda o statku - widmie, która czekała musiała długie sześćdziesiąt kilka lat na wyjaśnienie.

...A tajemnicza szpada z krwawymi plamami, która nasunęła tyle fantastycznych domysłów — okazała się tylko muzealnym eksponatem, który w całej tej historii nie odegrał żadnej roli.



musiało zachodzić zjawisko całkowitego zdenudowania mniejszych obszarów lądowych — wysp oceanicznych, półwyspów. Do denudacji kontynentów zdaje się nie dochodziło nigdy, gdyż zawsze w międzyczasie zaszyły jakieś procesy wyższego rzędu, wypiętrzające nowe lądy i góry w miejsce zdenudowanych i proces abrazyj zaczynał się na nowo.



Na wybrzeżu polskim obserwować możemy obecnie fazę dojrzalą. Dobrze uformowane mierzje, charakterystyczne jeziora przybrzeżne: Gardno, Sarbskie, Leba i inne, będące niewątpliwie pozostałościami dawnych zatok, świadczą o tym bezspornie. Jedynie zatoka Gdańska wyłamuje się nieco spod wyżej ustalonego schematu, ale spowodowane to jest szczególną konfiguracją dna morskiego, utrudniającą podłużne narastanie półwyspu Helskiego, na rzecz pogrubienia jego głowy.

Interesuje nas, jakie mogą być dalsze losy geologiczne naszego wybrzeża? Na podstawie znajomości przebiegu procesów abrazyj można przewidzieć z dużą dozą prawdopodobieństwa, że za parę tysięcy lat znikną te wszystkie urozmaicenia twory morza, które ozdabiają dziś nasze wybrzeże i przysparzają radości letnikom. Z obserwacji wiadomo, że brzeg nasz cofa się z szybkością około 1 m rocznie, wystarczy więc 5—10 tysięcy lat, by zetrzeć z mapy jeziora przybrzeżne, a 50 tysięcy, by zniknął Hel i zatoka Gdańska, o ile rzecz jasna, nie zajdą jakie inne, wyższego rzędu zaburzenia, które przerwą proces abrazyj i zupełnie zmienią zarys brzegu.



Geologowie przewidują, że zaburzenia takie są możliwe w naszej części Bałtyku. W miarę podnoszenia się Skandynawii będzie trwał jeszcze jakieś poprzędnie, a które, jak obliczają, może dojść jeszcze do 50 m, bez wątpienia nastąpi przemieszczanie się wód naszego morza. W ostatniej fazie dna płytkiej zatoki Botnickiej prawdopodobnie dźwięnie się nad poziom morza, a wówczas wody jej spłyną ku południowi, zatapiając nasze brzegi, co oczywiście wpłynie zaburzającą na regularność procesów abrazyjnych. Spieszę uspokoić, że proces podnoszenia się Skandynawii będzie trwał jeszcze jakieś 5.000 lat, będzie się zatem odbywał tak powoli, że bez najmniejszej wątpliwości zdążymy spokojnie ewakuować zagrożone tereny.

W osobnym artykule pomówimy o tym, w jaki sposób ludzkość próbowała powstrzymać niszczące działania morza i jak jej się to udawało.

INŻ. STANISŁAW HUECKEL

*) Wierzchnia warstwa skorupy naszego globu nosi nazwę „Sial” (lub „Sal”) od krzemu i gliny (Si + Al), dwu pierwiastków, dominujących w składzie chemicznym skał warstwą tę tworzących. Pod tą warstwą grubości kilkudziesięciu kilometrów zalega cięższa od niej gatunkowo warstwa „Sima”, w której skład wchodzi skały o zawartości głównie krzemu i magnezu (Si + Mg). Kontynenty wyobrażamy sobie jako olbrzymie kry sialu zanurzone w simie. Kry te w zależności od sił zewnętrznych czy wewnętrznych, działających na skorupę ziemską wykonują pewne niezmiernie powolne ruchy.

**CZY WIESZ, ŻE SZCZECIN
JEST ŚRODOWISKIEM
5.000 rzeszy studentów
wzywającej
Twojej pomocy**

JERZY PERTEK

SŁOWNICTWO MORSKIE

„Trudność opracowania tematu o słownictwie morskim — powiedział w swym referacie wygłoszonym na Zjeździe Prasy Morskiej w Szczecinie podczas „Święta Morza”, RED. MARIAN KRYNICKI wynika z faktu, że słownictwo to w Polsce jest jeszcze w stadium tworzenia i stanowi mieszaninę mniej czy więcej udatych nowotwórow językowych oraz spolszczonych zwrotów, zaczerpniętych z języków obcych.

Sprawa terminologii morskiej nie była bowiem dotąd autorytatywnie uregulowana, mimo prób ujednoczenia polskiego słownictwa marynistycznego, podejmowanych w latach przedwojennych z inicjatywy Ligi Morskiej i sfer naukowych przy poparciu czynników urzędowych. Po wojnie, w nawale pilnych zagadnień, nie było poprostu dotąd czasu na zajęcie się tym problemem, jakkolwiek w prasie ukazywały się już głosy, zwracające uwagę na rosnącą ważność wobec szybkiego osiągnięcia, jakie kraj nasz czyni na drodze do uzyskania pozycji państwa morskiego.

W dalszym ciągu swego wnikliwego referatu red. Krynicki wyjaśnił przyczyny zaniedbania naszego słownictwa morskiego, a raczej nawet powody dla których rodzime słownictwo morskie się w dawnej Polsce nie wytworzyło, zapożyczając większość wyrazów z języków obcych (angielskiego, holenderskiego i niemieckiego). Zagadnienie, czy powstała stąd gwarę morską zachować, czy też stworzyć własne słownictwo morskie, „skoro posiadamy własne wybrzeże morskie, własne porty i własną flotę, skoro mówimy własnym językiem i pielęgnujemy jego czystość” — rozstrzygnięte zostało na rzecz drugiej koncepcji. Oczywiście pod warunkiem, że adoptujemy szereg wyrazów zasadniczych, które się oddawna przyjęły (jak np. maszt, ster, burta, kotwica, reja, żagiel i tp.), a których wyeliminowanie mogłoby stworzyć zupełnie pomieszanie pojęć i sprawić, że wszyscy bez wyjątku musieliśmy słownictwa morskiego uczyć się od nowa.

Nie we wszystkich dziedzinach słownictwa morskiego sytuacja podobnie się kształtuje. Jeżeli w dziedzinie techniki portowej, przemysłu i budownictwa okrętowego jest ona na ogół zadawalająca, jakże gorzej się przedstawia dział żeglarski (jachtingu), z nader skomplikowanymi nazwami omasztowania, ożaglowania i i olimowania statków żaglowych. Red. Krynicki zacytował tylko dwa przykłady z języków obcych, w których wyrazy złożone są nie tylko dopuszczalne, ale i pożądane, jak np. w niemieckim, jednako spolszczenie tych lower—fore—top—sail—bunt—lines czy Vor—unter—mars—bug—gording prowadzi czasem do wprost nieprawdopodobnych dziwologów. Nic też dziwnego, że terminologia żeglarska jest dla niewtajemniczonych dżunglą zupełnie niedostępną.

TERMINOLOGIA WOJENNO-MORSKA

Niewątpliwie dużo lepiej przedstawia się u nas terminologia wojenno-morska, do czego przyczyniło się nie tylko posiadanie od przeszło ćwierć wieku własnej Marynarki Wojennej, nie tylko zachowana w okresie wojny ciągłość jej trwania, ale i współpraca jej organów w zakresie ustalania jak najpoprawniejszej terminologii. Wystarczy tu przypomnieć kącik językowy przedwojennego „Przeglądu Morskiego” i osiągnięcia wznowionego, mimo że — jak narazie — wychodzi jako kwartalnik. Jeżeli red. Krynicki powiedział na Zjeździe Prasy Morskiej, że „po wojnie, w nawale pilniejszych zagadnień, nie było poprostu dotąd czasu na zajęcie się tym problemem, jakkolwiek w prasie ukazywały się już głosy, zwracające uwagę na jego rosnącą ważność...”, to podkreślić trzeba, że właśnie wznowiony „Przegląd Morski” jest jednym z pism w tej dziedzinie najbardziej zasłużonych. Już bowiem pierwszy powojenny numer tego kwartalnika przyniósł artykuł na temat słownictwa morskiego i zapoczątkował na łamach pisma dyskusję, trwającą przez pięć następných numerów.

Dyskusja powyższa toczyła się — w myśl życzenia, sprzecywanego przez redakcję kwartalnika — wokół „ustalenia podstawowych pojęć dla określenia nazw zasadniczych typów okrętów wojennych”, wychodząc z założenia, że zaczynać należy od podstaw. Dość bowiem skrajnej ignorancji, która częstokroć za mało jest nazwać niedbalstwem, dość „pancerników wojennych” (czy w odróżnieniu od handlowych?), dość określenia wielkości okrętów tonami rejestrowania, dość nowotwórow w rodzaju „ścigaczy do zakładania min”, podczas gdy w konkretnym wypadku rozchodziło się o zwykły trałowiec, nazywany zresztą niekiedy przez omyłkę „tarłowcem”!

W ostatnim numerze „Przeglądu Morskiego”, dotyczyłszy redaktor tego pisma i jeden z inicjatorów dyskusji, dokonał próby jej zbilansowania. Na marginesie tego bilansu zamieszczamy poniżej szereg uwag.

Najistotniejszą niewątpliwie częścią artykułu por. Walickiego jest ustalenie nazw zasadniczych typów okrętów wojennych, co — jak napisano uprzednio — było myślą przewodnią rozpoczętej dyskusji, w której zabrało głos kilkudziesięciu

członków kwartalnika, w większości młodych ludzi i entuzjastów spraw morskich. Niestety z braku miejsca nie tylko nie można było zamieścić większości wypowiedzi, ale i wyczerpująco ich omówić. Głosy i uwagi najistotniejsze zostały w artykule por. Walickiego podsumowane.

CO TO JEST OKRĘT, A CO STATEK?

Przed wszystkim sprawa zasadnicza. Co to jest okręt? Zagadnieniu temu poświęca uwagę także i red. Krynicki we wspomnianym uprzednio referacie i choć dochodzi do słusznego wniosku, że w celu usunięcia wszelkich wątpliwości należy przyjąć nazwę „okręt” dla wszystkich jednostek wojennych i nazwę „statek” dla wszystkich handlowych, twierdzi że — opinia co do użycia tych wyrazów jest podzielona. Decydującym kryterium może być albo przeznaczenie jednostek pływających (wojenne — okręty, handlowe — statki), albo ich wielkość (pełnomorskie — okręty, kabotażowe i rzeczne — statki). Jest to zresztą opinia podobna do zdania komandora Reymana, autora wydanego zagranicą słowniczka opisowego. W słowniku tym czytamy:

„Wyraz polski statek jest pojęciem ogólnym, szerszym w swym znaczeniu, aniżeli wyraz okręt... wszystkie budowle (zbudowane specjalnie) do pływania na wodzie lub pod wodą są statkami. Statkami są zatem łodzie, krypy, berlinki, barki, promy, pogłębiarki, żagłowce, parowce i okręty wojenne...”

Wyraz okręt ma znaczenie bardziej ograniczone, węższe; wyczuwamy wyraźnie, że pod to pojęcie mogą być podciągane tylko statki jakiegoś specjalnego rodzaju. Ze statek na Wiśle, czy berlinkę, czy pogłębiarkę i jej podobne statki, czy nawet morski statek rybacki — nie możemy nazywać okrętami. Odczuwamy, że są one jakby niegodne miana okrętu. Z drugiej strony nie razi bardzo naszego ucha, gdy np. statek pasażerski „Batory” czy „Sobieski” nazwiemy okrętami — będzie to zresztą zupełnie poprawnie teoretycznie z punktu widzenia języka polskiego.

Czy nazwanie „Batorego” okrętem razi nasze ucho to znów nie łatwo kategorycznie stwierdzić. Komandora Reymana nie razi, mnie — według mojego skromnego zdania — razi bardzo. Co najciekawsze, zazwyczaj to sprawa z okrętem i statkiem ma się odwrotnie. Właśnie marynarzy (tych z Marynarki Wojennej) razi nazwanie jednostki handlowej okrętem, podczas gdy nie razi specjalnie cywiliłów z głębi lądu. W dalszym jednak ciągu autor słowniczka pisze, że „w polskim języku praktyczno-morskim, którego używają przede wszystkim sfery marynarskie, utarły się nieco odmienne, nie zupełnie zgodne z wyżej przytoczonymi, definicje dla statku i okrętu”. W myśl nich wszystkie jednostki marynarki handlowej nazywamy statkami. Okrętami nazywamy jednostki Marynarki Wojennej (t. zn. pływające pod banderą Marynarki Wojennej), dowodzone przez oficerów Marynarki Wojennej. Natomiast jednostki taboru pomocniczego (łodzie motorowe, krypy holownicze), należące do Marynarki Wojennej są statkami Marynarki Wojennej. Definicje powyższą przyjmuje także autor „Zacznymy od A. B. C.”.

Aby jednak uniknąć wszelkich komplikacji, wątpliwości i nieporozumień, najprostsze byłoby przyjęcie zasady generalnej: wszystkie jednostki handlowe są statkami, wszystkie jednostki wojenne — okrętami.

RODZAJE I KATEGORIE OKRĘTÓW

Por. Walicki dzieli następnie okręty na trzy zasadnicze rodzaje: okręty bojowe, okręty towarzyszące i okręty pomocnicze. Ten podział ogólny może zresztą być (i napewno jest) dowolnie interpretowany. Ja dodabym konieczne czwarty rodzaj do powyższych trzech: okręty (i łodzie) desantowe, gdyż wojna ostatnia doprowadziła do prawdziwego rozkwitu wszelki pływający „tabor” desantowy. Znany brytyjski publicysta wojenno-morski dzieli okręty na pięć rodzajów: bojowe, eskortowe (czyli towarzyszące), podwodne, pomocnicze i obronne oraz desantowe. Abstrahując jednak od podziału na rodzaje, przyswoić sobie należy podział na kategorie i nazwy tych kategorii. To już wystarczy każdemu laikowi, bez zagłębiania się w dalsze szczegóły, jak podział kategorii na klasy, klas na typy, czyli serie. (Por. Walicki obstatuje przy podziale kategorii na typy, zaś typów na klasy).

Tak więc okręty bojowe dzieli się na następujące kategorie: pancerniki, lotniskowce, floty, krążowniki, niszczyciele, torpedowce i — należałoby tu dodać — ścigacze (przynajmniej ścigacze torpedowe, które są bojowymi jednostkami w najlepszym, ofensywnym słowa tego sensie), oraz okręty podwodne. Do okrętów towarzyszących zaliczamy lotniskowce eskortowe (mniejsze i wolniejsze od lotniskowców floty, których zadaniem jest towarzyszenie rdzenowi floty, podczas gdy lotniskowce eskortowe towarzyszą konwojom statków handlowych), wszelkiego

rodzaju eskortowce, jak fregaty, korwety, kanonierki (sloopy), dalek — trałowce, i wreszcie ścigacze artyleryjskie i ścigacze okrętów podwodnych. Okręty pomocnicze to okręty macierzyste (zwane też okrętami — bazami), okręty warsztatowe, stacjonujące sieci zagrodowych, okręty hydrograficzne itp. Wreszcie następują okręty (i łodzie desantowe), których wymienienie pochłonęło by zbyt dużo miejsca.

Niewymieniony tu został stawiacz min, okręt który można różnie zaszeregować. Szybkie stawiacze min, zwane też krążownikami minowymi, można włączyć do okrętów bojowych, jako osobną klasę kategorii krążowników. (Za słusnością tego podziału przemawia fakt, że Anglicy, którzy w minionej wojnie dysponowali takimi szybkimi stawiaczami min, włączyli je często w zespołach właśnie z normalnymi krążownikami i kazali im wykonywać te same zadania). Stawiacze min w rodzaju naszego przedwojennego „Gryfa”, które od krążowników minowych różnią się przede wszystkim swą małą szybkością, można również dobrze umieścić w grupie (nazywanej przez por. Walickiego rodzajem) okrętów towarzyszących jak i pomocniczych. Wreszcie pomocnicze stawiacze min, przebudowane do tego celu w razie potrzeby, zaistniały w toku wojny, należą umieścić wśród okrętów pomocniczych.

KILKA UWAG ZASADNICZYCH

Chętnych bliższego zaznajomienia się z opisem i przeznaczeniem poszczególnych kategorii odsyłamy do wydanym fachowych, porzeczając na kilku podstawowych informacjach. Nie używać należy w żadnym wypadku słowa „awiomatka”. Poprawnym słowem jest lotniskowiec, ale używa się go tylko odnośnie okrętu posiadającego pokład lotniskowy, z którego startują i na którym lądują zaokręglowane na okręcie samoloty kolowe. Okręt przewożący wodnosamoloty (pływakowe) nie jest lotniskowcem, gdyż nie posiada lotniska. Wodnosamoloty startują z pomocą katapulty, a lądują, a raczej wodują — na wodzie, skąd za pomocą dźwigu zabiera się je na pokład. Okręty te nazywa się okrętami macierzystymi wodnosamolotów lub transportowcami wodnosamolotów.

Zamiast dotychczas używanego terminu „kontr-torpedowiec” wprowadzono termin niszczyciel, który bardziej odpowiada dzisiejszemu przeznaczeniu tego uniwersalnego okrętu, będącego przede wszystkim niszczycielem nieprzyjacielskich samolotów i okrętów podwodnych. Nie należy jednak mówić „destructor”, bo destructor to termin angielski i znaczy właśnie niszczyciel. Podobnym błędem byłoby spolszczenie niemieckiego Zerstoerer, co również znaczy niszczyciel.

Zdecydowaną wojnę wypowiedzieć należy pokutującemu jeszcze trawlerom, czy nawet trawlerom. Trawler jako jednostka rybacka — zgoda, nigdy natomiast jeśli chodzi o polawiacz min. W toku pierwszej wojny światowej Anglicy użyli szereg trawlerów rybackich jako pomocnicze polawiacze min i stąd przyjęły się w naszym słownictwie termin trawler na każdy polawiacz min. Obecnie ustalono dla polawiacza min nazwę trałowiec, pochodzącą od trawu, t. j. urzędzenia do wylawiania min.

Przyswojenie sobie przynajmniej nazw zasadniczych kategorii okrętów i zapamiętanie kilku powyższych uwag uchroni przynajmniej od popełnienia takich błędów, jak napisanie „ścigacz do zakładania min” o trałowcu. Trzy błędy w jednej nazwie: ani ścigacz za do „zakładania” min, ani „zakładacz” (czyli poprawnie stawiacz) min są ścigaczami, i wreszcie wzmiankowany okręt był akurat polawiaczem min, czyli trałowcem.

Dokładne zaznajomienie się z terminologią wojenno-morską, zbliżenie się do spraw wojenno-morskich, zapoznanie się z przeznaczeniem poszczególnych kategorii okrętów wojennych, obeznanie się z ich sylwetkami przyczyni się niewątpliwie nie tylko do poznania całokształtu zagadnienia na odcinku wojenno-morskim, ale i pozwoli uniknąć popełniania żenujących czasami omyłek i gaff. Jedną z takich gaff przydarzyła się jednemu z pism codziennych z okazji Święta Morza. Pod tytułem „Morze, nasze morze... — i z podpisem — „Wiemnie ciebie będziemy strzec. ORP „Błyskawica” — stynny i zasłużony kontrtorpedowiec strażca naszych granic morskich” — pismo to zamieściło zdjęcie dobrze znanego mieszkańca com wybrzeża, a zwłaszcza Gdyni, pancernika niemieckiego „Gneisenau”. Zdjęcie to, i bez pomocy redakcji tego pisma, przeszło do historii, bowiem widniejące na nim nadbudówki kadłuba pancernika zostały już pocięte na złom. Gaffa — stosownie do wielkości pancernika — nie miała.

JERZY PERTEK

**TYGODNIK
WYBRZEŻA 7**

Nr. 45 (119), 21.XI.48.

WIELKA WODA

DOKOŃCZENIE

— Haalo!... Niecierpliwie zadzwieczył w uchu kobiecy głos. — Dlaczego nie odpowiadacie?!

„Kapuryna paniusia” — pomyślał wuj Tereń i nagle rozgniewał się: co za baba! Jeszcze krzyczy. Tylko patrzeć jak łód ruszy, a tu siedź i siedź i czekaj na jej list.

— Jestem sąsiadem waszego męża... — powiedział w mikrofon, i nie bardzo wierząc, że słowa jego będą usłyszone.

— Aa... sąsiad! Bardzo, bardzo się cieiszę. Jak tam u niego, co z nim biedakiem? Ah, wiecie...

— Bo źle robisz, paniusiu droga. Źle — powiedział wuj Tereń do mikrofonu i nawet głową pokręcił. Powiem tobie jak człowiek stary — poprostu: Gdybyś ty była moją córką, albo synową, jakbyś ci... — spiker szarpnął go za rękaw i stary zatrzymał się.

— Tak to, tak — zamamrotał.

Kobietka zawstydzona się. — Nie rozumie, co mówicie?

— A to mówię, zaczął krzyczeć ze złością do mikrofonu wuj Tereń, — że tak nie można. Mąż to nie zabawka i ty nim, babo, nie kręć. Depesze otrzymałaś?

— Otrzymałam...

— A co z odpowiedzią? Ja tu, paniusiu, ochłody nie szukam. I mąż czeka. Jest twój mój, czy nie?

— No jest...

— A jak jest, to trzeba go szanować. Wprawdzie to mąż, ale zawsze człowiek. I też ma serce. Nie głaz. Podmieński sobie urządzać, a on nie je, nie pije... sy-piać przestał.

— Napisz, napisz — dziś jeszcze — przedko powiedziała kobieta. Ah, jaki on głupi!

— Co tam — „napisz”! Wzrasnął wuj Tereń. Nie mam już czasu na czekanie. Czy rozumiesz: niedługo łód ruszy. Łód. A... machnął ręką. Co jej tam tłumaczyć o lodzie...

— Słuchając tej rozmowy, radiotelegraficiści skrocili się ze śmiechu, ale postanowili i tym razem pomóc wujowi Tereniowi. — Obywatelko, powiedział do mikrofonu spiker, proszę poddyktować telegram, a my przekażemy go przez sąsiada.

— Tylko, żeby był dobry — zagderał wuj Tereń. — Złego nie zaniósł.

Radiotelegrafista zaczął zapisywać: — „Żyje, jestem zdrowa, tętnię za tobą...”

— Tęsknisz, a jakże... — burknął stary, — ty mu jeszcze o kinie napisz.

— „bardzo tęsknię... czekam na ciebie i doczekać się nie mogę. Pieniądże otrzymałam, ale wszystkie już się rozeszły. — Ciężko jest, ale to nic. A poza tym: bądź zdrow, dbaj o siebie. Całuję. Twoja Frosia...”

— Nie, nie! Krzyknął co było sily wuj Tereń. — Nie wezmę takiego telegramu. Nie wezmę!

— Co z tobą stary? — zdziwił się radiotelegrafista.

— Poprostu „całuję” nie wezmę. Niech „mocno” „mocno”, „gorąco całuję”, wtedy zaniósł. Zarty, czy co!

— A więc mocno... mocno... — gorąco, — wyjąkała Frosia. Jacy wy jesteście dziwni!

Radiotelegrafista wpisał: „mocno — mocno, gorąco”, i w godzinę potem zadzwonił wuj Tereń krocząc już po zatoce z workiem na plecach, badał łód kijem i śpiewał.

Byle tylko zdążyć do domu przed wielką wodą. Wuj Tereń posuwa się szybkim marszem, gdzie można — naprzelaz przez tundrę, gdzie nie można — naprowst przez zatokę. Spieszmy mu się. Trzeba zdążyć wstąpić na wszystkie zimowiska, rozdać wszystkie listy i co najważniejsze — podzielić się nowinami. „kapse”, jak mówią Jakuci, „pyniel”, — jak mówią Czukczowie.

Nowina — to wielka rzecz! Człowiek, który ma nowiny jest potrzebny i ciekawki w tundrze. Dla niego jest najlepszy kąt w izbie i pierwsze miejsce przy stole.

— Ale wuj Tereń nie droży się nowinami. I nie sprzedaje ich. Szczędrze rozda je każdemu napotkanemu. Stają się one skrzydlate i rozlatują się po tundrze. Nowiny są ważne i potrzebne: o tym, gdzie teraz ruszy łód i kiedy należy spodziewać się konwoju i czym naładowane są barki i jacy jadą ludzie i jakie przypożączy ceny na zwierza i jakich należy spodziewać się zarządzeń. Wuj Tereń o wszystkim się dowiedział i wszystko o czym wiedział — rozdał.

W chacie Powojnikowch wuj Tereń zastał zupełnie nieoczekiwane spotkanie. Własnym oczom nie wierzył: przy stole siedzi w zgodzie cała rodzina, wszyscy mają odświętny wygląd, twarze jasne, baw w różowych bluzkach, starszy Powojnikow uczesany, twarz młodszego przy-

milnie uśmiechnięta — zadrapania zagoiły się.

— Pokój temu domowi! Mruczy wuj Tereń i zastanawia się już: oddać — czy nie oddać depeszę z biura.

— Wuj Tereń przyszedł! — Piszły radośnie obie baby i ciągną starego do stołu. Nic nie rozumiejąc, siada i obrzuca wszystkich spojrzeniem: zgoda, zgod... wypisane jest na każdej twarzy — i cieszę się — podnosi czarnekę.

— A więc, powiada, — za nasze, za wasze, za wszystkich dobrych ludzi! I wychyla.

Gwarnie i zgodnie mijają obiad. Ale po obiedzie młodszemu odwołuje się starszy na stronę i pyta.

— Więc jak?

— Przyniosłem ci rozdział — z wahaniem mówi stary. — Nie w porę?!

Młodszy zamyśla się. Potem mówi:

— Daj jednak. Stary oddaje telegram z biura: młodszemu ma pozostać za przykładu Lemberkowa, starszy — przesiadł się na zimowisko Zdanowa.

— Jak to? — mówi nagle głósno młodszemu. Dlaczego Iwan ma jechać? Bardzo proszę — i ja mogę pojechać.

W izbie wszyscy czują się milnki.

— Widzisz go! Uśmiecha się zjadliwie młodszemu. Okazja dla Iwana! Dziś Zdanowa jest znana, nie da się porównać z naszym. I nagle rzuca telegram w twarz starszemu i syczy:

— Wyprzedził mnie? Kombinezator!

Starszy Powojnikow nie zdążył jeszcze zorientować się w niczym, a już jego żona wczepiła się w Siemiona, a baba Siemiona — w niego. Bójka wybucha od razu, trzeszczą babie bluzki, lecą stołki.

— Stójcie, stójcie! — wydziera się wuj Tereń. Ludźmi jesteście, czy nie ludźmi?

— Wycoufaj się jakoś z bójki, chwytaj worek i karabin. Tfu! — spłuwa na podłogę. Czym przedzej — precz! — „Co za ludzie! — nie pojmuję, kiedy jest już wreszcie sam — taka wielka jest tundra, a im jest ciasno...”

Jednakże nie ma czasu na rozmyślanie o Powojnikowch. Nie ma czasu na wściekłość.

Teraz tylko patrz i uważaj. Łód robi się coraz cięższy, wody przybrzeżne stały się szerokie jak polnyce, tundra grząska — jedno topieliisko, pod każdym kamieniem kałuża, ruszyły rzeki, rozlały się, droga jest ciężka i mokra.

A czasu jest mało!

— „Czy zastanę jeszcze przy życiu Dziada Kurusza?” — myśli stroskany wuj Tereń.

Dziada Kurusza zastaje przed chatą. — Starzec leży na ławie, grzeje się na słońcu.

— Aa! — wita wuj Terenia. Długo wędrował młody człowieku. Dawniej szybcieli chodziliś.

Ano, dawniej nogi były lżejsze — żartuje wuj Tereń, — teraz moje samochody już się nachodzą. Trzeba by sobie sprawić auto.

Spraw, spraw! Jakże droga? Szczęśliwie?

— Niegorzej. Synowie przyjadą do ciebie, Jegor Kuźmicz. Doczekaj się ich!

— Aa! — uśmiecha się Dziad w brodę i nie może ukryć tego uśmiechu. — Przyjadą jednak szalapani. Przeszraszyli się. A ja właśnie nie doczekam się i zemrę. He? — i śmieje się ze swej groźby. Wuj Tereń zaczyna wykladać nowiny. Najpierw państwowe, polityczne.

— W Moskwie drogie pod ziemią wybudowali — komunikuje — metro się nazywa.

Ale Dziada Kurusza nie interesują moskiewskie nowiny. Raz na zawsze ograniczył swoje zainteresowanie do spraw Arktyki. Tu jest jego chatka, jego działka, jego dzieci.

— A więc, jakże tam, jakie będą loty? — zapytuje. „To pytanie dotyczy Piotrusia” — myśli sobie wuj Tereń i opowiada o lotach.

— A jak tam ze zwierzyną? Jak w tym roku z delfinami, z foką, jakie morsy?

— „To o Sieriożę”, — domyśla się wuj Tereń i opowiada o łowach.

— Tak, tak, kiwa aprobującą głową Dziad Kurusz. — I o stacjach polarnych słyszałeś? Jak jest teraz na Diksonie? Albo na przykład na przykładzie Czeluski.

— „A to już o Waške” — uśmiecha się wuj Tereń i opowiada naprzemian o Waške, i o stacji na przykładzie Czeluski.

Wszystkie nowiny już są opowiedziane. Można ruszać w drogę. Dziad gniewa się, że gość opuszcza go tak przedko, ale rozumie, że pozostawać dłużej nie może.

— Zostawił bym ci jeszcze na dzień, — mówi przy rozstaniu starzec. — Ale nogi masz już nie te... Spiesz się. Nie zdążyś przed wielką wodą.

Przez cały dzień mży drobny, dokuczliwy deszcz i kiedy wuj Tereń dociera do chaty Zdanowa, nie ma na nim suchej nitki.

Zdanow spotyka go, jak zwykle, w milczeniu, o nic nie pyta, prowadzi do izby i podczas tego, gdy wuj Tereń zrzuca z siebie mokrą odzież, wydstaje ze skrzywni swoją i daje starszemu.

lają fajki.

— Wysłałem, — oświadcza krótko wuj Tereń: przy Zdanowie nauczył się zwieźłości.

— Aa! — obojętnie odzywa się Zdanow. — Nie kazałeś czekać na odpowiedź? — Nie.

— I nie czekałem, — kończy wuj Tereń i wyciąga do ognia nogi w wełnianych pończochach Zdanowa.

Obaj milczą i palą.

Słychać jak deszcz bije o szyby. — Jednak, — nagle odzywa się, ziewając, wuj Tereń — jednak przyszło do ciebie jakieś pismo...

Twarz Zdanowa zwołna czerwienieje. Ale nie mówi, nie przynagla wuj Terenia, pyka tylko z fajki, a fajka — jak na złość — zgasa.

Wuj Tereń wyciąga z worka telegram i podsuwa Zdanowowi.

„Otrzymałam wasze różne, drogi przyjacielu. Z całego serca dziękuję. Często i ciepło wspominam nasze spotkanie w tundrze i jeszcze raz, tak jak wtedy, powiem: dobry i prawy z was człowiek. Rada będę zoba- czyć was w Moskwie, jeżeli nadarzy wam się sposobność być tutaj. Serdeczne pozdrowienia. Tatiana Lognowa”.

Zdanow długo, bardzo długo czyta telegram i nagle sam zaczyna opowiadać o Tatianie Lognowej, o tym jak spotkał ją w zeszłym roku, piątego lipca, w tundrze (ona jest geologiem), jak udało mu się szczęśliwie okazać jej drobną przysługę — a jednak pamięta, i jak od tego czasu myślał o niej, całą zimę myślał, myśli i teraz...

— Pojadę do Moskwy. Popatrz na nią. Popatrz tylko.

I zaraz tu wróć!

— Sam wróć! — jakby od niechcenia pyta wuj Tereń.

Zdanow rzuca na niego wyściekle spojrzenie i ryczy:

— Sam! A co ty myślał? Sam, bodaj cię diabli wziął!

W izbie Trofimowa wuj Tereń kładzie worek wprost na stół, cała rodzina zbiera się dookoła i stary uroczyście rozdaje prezenty: Mitiajowi — książki, gospodyni — skondensowane mleko w puszkach i stołki z lekarstwami i podsypankami ze szpitala. Trofimowi — gospodarskie drobiazgi.

Mitiaj przekłada w rękach książki i patrzy z podebą na wuj Terenia.

— Co z tobą? — pyta ojciec.

— Nic, mruczy nadąsany Mitiaj — nabrał mnie...

— Ah, tak! — powiada wuj Tereń, uderzając się ręką w czoło. Zupełnie zapomniałem! I figlarnie uśmiechając się wyciąga z kieszeni nóż i oddaje go Mitiajowi.

Prezenty rozdane — teraz nowiny. Trofimowym trzeba opowiadać rzeczowo. To nie Zdanow i nie Dziad Kurusz. Z Trofimowym można długo i ze smakiem mówić o polityce. Przepowiadać, czy będzie wojna, czy nie, jakich urodzajów należy spodziewać się w kolchozach i jakich cen na zwierzyne.

Jak zawsze, wuj Tereniowi nie chce się opuszczać ciepłej i gospodarnej chaty Trofimowa. Dobrze byłoby zostać i siedzieć tak przy ogniu, palić fajkę, gawędzić, słuchać jak deszcz bije o szyby, jak porusza się dziewczynka w kołysce i jak w sieni skó mlą psy. Prawdę mówiąc — dosyć już chodzenia na jego lata. Miejsce starego przy piecu. Ale opowiedziawszy wszystkie nowiny — wstaje, wybija fajkę o obcas, zarzuca worek na plecy, żegna się i wychodzi.

Przez całą drogę od chaty Trofimowa do domu Arseniusza, wuj Tereń wymyśla od ostatnich kobiecie Arseniusza. Przez nią stracił na Diksonie trzy dni. Trzy dni — to nie żarty. Trzy dni, kiedy każda godzina jest drogą. Jedna godzina decyduje o wiśni.

— A to baba diabelna! Kinie stary, przeskakując przez szczylny i zapadając po pierś w lodowatą wodę. — Ah! Baba przekłeta! — Gdybyś ty była moją córką, albo synową, ja bym...

Ostatkiem sił dociera do domu Arseniusza. Cały jest przemoczony. Drży z zimna i ze zmęczenia, przeklina drogę, babę i siebie samego za to, że związał się z tymi sprawami.

„Co się to teraz wyprawia w tundrze: miłość, zazdrość. Nigdy nie bywało. I ludzie stali się bardziej niespokojni i wiośny gorsze i woda zimniejsza — przejmuję do szpiku kości, a i kości już nie te (to najważniejsze: kości już nie te) — co przedtem. Całe ciało doskwiera. Zupełnie przepiębił się, stary. Eh! — z takimi sprawami!”

— Ale kiedy Arseniusz — wychudły, zarośnięty, straszny, niecierpliwie rzuca mu się na spotkanie i krzyczy: „no jak, no jak, no

przede wszystkim odpowiada mi: —

Przyniosłem. Mocno całuję. Czekaj, zagrzeję się tylko, niech przyjdę do siebie... —

Ale telegram oddaje Arseniuszowi przede wszystkim, bo zawsze dusza ludzka bardziej boli niż kości.

— Arseniusz wyrwa telegram ze zgrabia- lych rąk starego i chwiei czyta.

— Widzisz ją! — mruczy, rozplywając się cały w uśmiechu.

— Widzisz! — postępuje z zażenowa- niem.

Dusza została już wyleczona. A kości? Kości starego zwracają, one też już wy- pociły. Można znów ruszać w drogę.

— Nie odchodź! Nie odchodź! — prosi Arseniusz.

Człowiek nie może pozostawać samotnie z nieszczęściem, ale jeszcze trudniej — z wyciekającą oddawna radością. Teraz tylko by mówić, mówić, opowiadać o żonie, o tym jak ona go kocha, a on ją i jak cudownie będzie im się żyło.

— Nie odchodź, wuj Tereń, człowieku złoty! — prosi Arseniusz. Teraz akurat wy- padałoby nam napić się.

Ale stary pamięta o sąsiadzie, który rów- nież czeka. Też pewnie zadręcza się.

Trzeba iść, Trzeba iść.

Na wysokim brzegu stoi sąsiad i patrzy na zatokę. Nad Jenisejem — ryk.

Łód pęka z trzaskiem. Kry zderzają się, tłuką i przewalają ze zgrzytem. Śnieg lodowego pyłu zawisł w powietrzu.

„Teraz wuj Tereń nie pójdzie przez za- tokę! — myśli ze smutkiem sąsiad. Teraz będzie musiał obchodzić brzegiem. Nawet nie ma pogo czekać...”

Po raz ostatni rzuca spojrzenie na prze- pływającą krę i nagle — daleko, daleko na zatoce — dostrzega samotną, czarną sylwetkę: młota się wśród zwałów lodu, ska- ce. Sąsiad wpatruje się i z przerażeniem poznaje wuj Terenia.

— Wuj Tereń! I krzyczy przerażony. Coś ty narobił?

Ale stary nie słyszy. Wokół trzask, to- mrot, ryk. Łód uszuwa się spod nóg. Zawarte pola lodowe pękają nagle w wydawające się najpewniejszym miejscach i pokrywają się wodą. Idzie wielka woda. Idzie wielka siła i jakże z nią walczycy staremu?...

— Przekłeta baba! — kinie, przypomnia- jąc sobie żonę Arseniusza i skacze po lodzie.

Do brzegu jeszcze daleko. A na brzegu biegną sąsiad. Powtarza mimowolnie ruchy sta- rego na krzyki i bezradnie rozkłada ręce.

„Eh jakie nieszczęście! I to teraz? Zgi- nie stary!” Nagle decyduje się, biegnie do lodzi, spycha ją na wodę, wskakuje do niej, odpycha się żerdzią od zwałów lodu — spie- szy z pomocą...

Łód lawiruje wśród kry, a ze wszyst- kich stron zasypują ją odłamki lodu.

— Hej! — krzyczy sąsiad. — Wuj Tereń!... Jeszcze trochę!... Trzymaj się!... Stary spostrzega łódkę.

— Po co ty? Po co? — krzyczy gniew- nie. — Zmładzły cię, do diabła!

— Trzymaj się!... dotaluje do niego.

I stary, splunąłwszy ze złością, skacze na sąsiadnią krę, z niej na następną i znow na następną — na spotkanie lodzi.

W pół godziny później, obaj sąsiadzi są już na brzegu. Obaj przemoczeni od stóp do głów, obaj zmordowani.

— Nastia przyjdzie... — mówi stary. — Jak tylko przejdzie woda — przyjdzie. I oddaje telegram.

Sąsiad czyta zażenowany. Wuj Tereń patrzy jak tuż obok kmie kra ze śladami jego stóp. Pędzi do morza.

— To dobrze, że Nastia przyjdzie. Co? Jak myślisz? Nieśmiało pyta sąsiad. — Człowiek bez baby w żaden sposób żyć nie może...

— Prawda — zgadza się stary... — Takie to sprawy, — i patrzy na przepływają- ce zły lodu.

Nagle sąsiad zawstydzony się swej rado- ści:

„Co ja robię — tylko o sobie i o Nastii! Trzeba i starego zapytać”.

— A ty, wuj Tereń — coś dostał z do- mu? Dobrze wiadomości?

— Z domu? — śmieje się stary. — Prze- cież ja, miły przyjacielu, nie mam żadnego domu.

— A rodzina?

— I rodziny nie mam. Sam jestem. Jak chwał przy niedzy. Sam jeden... Tak to?

— A do kogo wysyłał telegram?

— Ja? — Do nikogo.

— Więc poco chodzisz? — pyta ze zdzi- wieniem sąsiad. Ale stary nie odpowiada. Wielka woda idzie, a to najważniejsze jest ze wszystkiego.

A jednak zdążyłem — myśli stary i zdejmując czapkę, jakby witał wielką wo- dę.

TLUMACZENIE: DIS.



W TEATRACH

Trudno byłoby wyobrazić sobie układ spraw teatralnych bardziej szczęśliwy od tego, jaki zarysowuje się obecnie dla kompleksu Gdyni — Gdańska w ramach trójmiejskiego Państw. Teatru „Wybrzeże”. Pierwsze premiery, zadziwiające rozległością siali tematycznej i formalnej, w pełni potwierdzają taką opinię.

Pierwszy gotów był z premierą teatr kabrealny, nastawiający się na sztukę o problemach współczesnej. W tymczasowej jego siedzibie w Teatrze Miejskim w Gdańsku — w Warszawie, ujęliśmy w reżyserii Halny Gallowej dramatyczną i po głębią myślowo sztukę o tematyce okupacyjnej — Anny Świrszczyńskiej „Strzały na ulicy Długiej”.

Z kolei zaprezentował się publiczności teatr komediowy i z ambicjami muzycznymi pod artystycznym kierownictwem Stefana Orzechowskiego. Wobec nieukończonych jeszcze prac nad sceną Teatru Wielkiego w Gdańsku, premiera odbyła się na rozszerzonej specjalnie scenie sopockiej. Pokazano tu wodewilowo ujęty „Klub kawalerów” Michała Bałuckiego.

Już ten dwuosobowy, który poniżej omawiamy, stanowi dobrą zapowiedź dla nowego sezonu 1948—49. Tymczasem jednak na wielkiej scenie dramatycznej gdańskiej sięga Iwo Gall do pozycji najbardziej ambitnej, do „Wisniowego sadu”, głośnego poetyckiego dramatu Antoniego Czechowa. Ale o tym już w następnym numerze.

DRAMAT WINY I EKSPJACJI „STRZAŁY NA ULICY DŁUGIEJ”

W realiach sztuki Świrszczyńskiej, w jej życiowej motywacji, trafiają się niewątpliwie i rzeczy zbyt wyszukane, zbyt literackie, czasem ledwo prawdopodobne — trudno się temu nawet dziwić: Autorka była do tego, również w dramacie („Orfeusz”), poetką i bodaj przeciwieństwem żywiołowego talentu realistycznego. Świrszczyńska odznacza się jednak wysoką kulturą literacką i teatralną, doskonałą robotą sceniczną, poza tym, niezależnie od pewnych zbyt teatralnych efektów, jest coś mocnego w samym jej pomysle dramatycznym. Oryginalna jest konstrukcja całości, interesujące, znamienne paralele, rozstawienie postaci, b. umiętne przeplatanie partii nariskros dramatycznych i innych, o charakterze refleksyjnym i statycznym, mającymi przecież swoje odrębne napięcia.

Świrszczyńska opracowała przy tym rzecz z niemal klasyczną zwięzłością. Wszystko dzieje się tu w ciągu jednej nocy, w jednym warszawskim mieszkanku. Skupilo ono w sobie niejako nędzę i białki, moralne zahamania i triumfy tamtego czasu. Niemców nie widzimy na scenie, ale odgłosy zaa zaciemnionego okna mandsardyl wespół z reakcjami postaci sztuki mówią o nich nieustannie, oddając sugestywnie nastrój wojennych nocy. Od wiecra do rana rozgrywa się na tym tle jeden z wielu dramatów ludzkich, dramat winy i ekspiacji.

Lole, kobiecie, która weszła w poważną kolizję z moralnością dla wykupienia z obzu swego męża, ratuje od samobójstwa (gdy dowiaduje się o jego śmierci) przybycie nieznanego zamachowca chroniącego się po akcji na ulicy Długiej. W zetknięciu z prostą filozofią człowieka walki zdaje się Lola widzieć już przed sobą nową perspektywę odrodzonego życia. Ale to tylko pozorna, ułudna perypetia — przed katastrofą. W trzecim akcie, z złowrogim pojawieniem się zawiadzonego kochanka z przekreślonej już przeszłości, wszystko ku niej stopniowo zmierza. Mimo prób przez ciwizjalniana zbliża się ona wraz z sprawą dzonymi do schroniska konspiratora Niemcami. Bohaterka sztuki, wypełniona poczuciem winy, przyjmując katastrofę świadomie, umożliwia zamachowcowi ucieczkę dachami, sama z rewolwerem w ręku opóźnień, kupi śmiercią brud życia pod okupacją. Tak, odkupieniem zarazem staje się katastrofa w tej tragedii, klasycznej z formy i chrześcijańskiej z ducha.

Dramatyczna akcja scenicznej wspiera Świrszczyńska myślą etyczną, jaka jej towarzyszy, przewijając się dyskretnie w rozmowach poszczególnych osób. W nich wszystkich czynne jest sumienie. Nawet, choćby świadomie je zagwałdzali, jak czyni to Barczak, chlubiący się, że „nie lubi bezinteresownych uczuć”. Wiemy jednak, że prawdziwie jest to, co mówi konspirator, że „człowiek jest chory na moralność”, że „dobro i zło jest mu potrzebne jak powietrze”.



Fot. E. Zdanowski

Wanda Bartówna (Lola) i Leon Łuszczewski (Józef) w I akcie sztuki, A. Świrszczyńskiej — „Strzały na ulicy Długiej”.

Atmosferę etyczną sztuki Świrszczyńskiej współwyznacza przy tym w sposób znamienity sam czas. W latach, kiedy „biżuteria idzie w górę, a cnota w dół”, moralność bohaterów z konieczności nabiera jakiejś niespotykanej dotąd rudymentalnej prostoty. Oczywiście, Profesor przytacza swoje inteligenckie racje, jemu Platon pomaga przeżyć wojnę, uczy go umierać. Konspirator jednak, proletariusz, od dziecka w biedzie, nawykły do oszczędzania, teraz zaś stale w obliczu śmierci — stworzył sobie intuicyjny i jeszcze bardziej niedwuznaczny, bezkompromisowy, asocjacyjny system moralności. Ta moralność zwięzła i uspołeczniona, choć samotnicza głosi: robić swoje, walczyć ze złem, nie lekać się ofiary. I walka dobra ze złem stanowi też istotny i głębszy, drugi nurt wypadków na scenie. Tragedię sprowadza nie tylko zwykła zazdrość kochanka, ale, czujemy to wyraźnie, głębsza jakaś, stajona na nieświadłość zła wobec dobra, ciemności wobec światła. Tylko w atmosferze tak przepojonej myślą etyczną, mógł stać się do głębi przekonujący dramat Świrszczyńskiej, dramat sumienia i moralnej walki. Dramat ten jest cennym wkładem do dzieła powojennej odbudowy moralnej.

Zadanie reżysera sztuki Świrszczyńskiej polega przede wszystkim na uprawdopodobnieniu sytuacji, na wydobyciu tonu naturalności — napięć dramatycznych dostarcza pod dostatkami sama sztuka. Dla aktorów pole do popisu jest rozległe, bo rolę są wdziczone, choć na ogół trudne. Rola Loli np. stanowi jedną z najwspanialszych i najbardziej odpowiedzialnych ról solowych, napisanych w Polsce po wojnie.

Reżyseria Halny Gallowej stanęła na wysokości zadania. Wydobyla z sztuki maximum jej nastroju, wypracowała sytuację i dialogi z wielką starannością i precyzją. Inscenizacja gdańska „Strzałów na Długiej” zdecydowanie przewyższała inne, wcześniejsze nieco inscenizacje tej sztuki na terenie Ziemi Odzyskanych: u Waldena we Wrocławiu i teatrze szczecińskim.

Wanda Bartówna jako Lola rozwinęła w swej grze szeroką skalę oddzielenia, od barzo subtelnie oddanych nastrojów tragicznych niedoskiej samobójczyni, poprzez tony sentymentalno — optymistyczne lub udanej kokieterki w III akcie, aż po akcenty bohaterkiej rezygnacji. Szczególnie przejmujące wypadki stany jakiegoś na pół tran su w I akcie, natomiast pochylene głowy w samym zakończeniu sztuki (gdą z rewolwerem w ręku staje u drzwi, do których łomoczą już Niemcy), choć możemy uznać pochylene to, nieco lekkie, za bardzo ludzkie, nie wypadło ładnie. Partner Bartówny, Leon Łuszczewski (konspirator Józef) pokazał sylwetkę dywersanta nazbyt może „proletariacką”, oddał jednak bardzo przekonująco w dykcji i w ruchach zewnętrzną szorstkość i wewnętrznie nieskomplikowanie tej postaci niemal z jednej bryły stworzonej. Na premierze czołowa para aktorska zahamowała się jakby w samym zakończeniu, grała arcytudnie na scenę zbyt pospiesznie i nerwowo, osłabiając nieco efekt swej doskonałej gry w ciągu całego przedstawienia.

Włodzimierz Fabisiak, mający jak Łuszczewski doskonałe warunki zewnętrzne, oparł podobnie jak i on swą grę na niewiele dobrze rozpracowanych elementach, kapitalnej mimice i tonie głosu, przede wszystkim zaś spojrzeniem wyrażał wymownie, że jego Barczak to odpychający cwaniak, „już taki od szczeniaka: jak coś chwyty w garść, nie puści”. Interesująco ujęty czamy charakter.

K. Królikiewicz, odtworzyła przekonująco i lekko postać Helci, dość niefrasobliwie ujęte „lekkie muzy” z okupacyjnego świata spekulantów. G. Sielicki, niedawny aktor Gdańskiego Zespołu Artystycznego, przeszedł zupełnie szczęśliwie swój chrzest w Teatrze „Wybrzeże”. Jego sylwetka Profesora z książką Platonu na piersi urasta do wymiarów męczennika na te czasów barbarzyństwa i pogardy. M. Górkiewicz był interesującym w swej niewyrazności Fran kiem, neurastenicznym młodym inteligentem łamiącym się moralnie pod ciśnieniem wojennej rzeczywistości. „Serce... ja nie mogę” — mówił, szczerze wrzeszcząc.

oprawa plastyczna, stworzona przez b. zdolną młodą dekoratorkę, Agnieszkę Hornicką. W dekoracji do „Strzałów na Długiej” chodzi niewątpliwie o oddanie atmosfery deklacji moralnej Loli, niemniej pozostaje Lola jednak wrażliwą inteligentką. Czy należało od razu ukazać buduar kokoty z ubożego przedmieścia? Nie sądzę. Upadek moralny na tle wytworności może dawać kontrast bardziej sugestywny. Hornicka stworzyła świadomie brzydki, odrzucający pokok prostytutki. Jego krzyca czerwień łączyła w sobie sugestię jaskrawej niemoralności z inną — krwawego czasu wojny i konspiracji („Strzały”). Dekoratorka postąpiła na pewno odważnie, nie wiem jednak, czy aż tyle odwagi było tu potrzeba.

Wnliwdy artykuł napisała do programu tej inauguracyjnej sztuki Malwina Szczepkowska, kierownik literacki sceny gdańskiej i sopockiej. W jej osobie zalebia się tradycja dotychczasowego na pół ochotniczego Gdańskiego Zespołu Artystycznego z nową tradycją Teatru Państwowego.



Fot. E. Zdanowski

Final i aktu „Klubu Kawalerów” w Teatrze Kameralnym „Wybrzeże” w Sopocie. Od lewej stoją: Wł. Jabłoński (Motyliński), Wł. Hermanowicz (Nieśmiałowski), M. Nawrocki (Wygodnicki), J. Jabczyński (Władysław), K. Zarzycki (Piorunowicz), R. Mrongovius (Sobieniewski).

Świetna literacko i b. starannie wystawio na sztuka Świrszczyńskiej stanowi piękny wyraz tego sojuszu starego z nowym.

WCZASY SPRZED PÓŁ WIEKU „KLUB KAWALERÓW” W SOPOCIE

Przedwzime rzeczy zaczęły się po wojnie dzieć z Bałuckim, tym znacnym emerytem naszej sceny. Najnieoczekiwany stał się znnowu jej „grubą rybą”. Był chyba najczęściej w ostatnich czasie granym autorem. Kiedy taki Rydel, czy Przybyszewski, surowi krytycy Bałuckiego, w ogóle prawie nie dochodzili do głosu, do dziesięciu scen polskich grało w samym sezonie 1946-47 jego „Dom otwarty”, a bez liku razy wystawiano „Grube ryby” i „Klub kawalerów”. Obwoływano Bałuckiego — pisał jeszcze I i pół roku temu wybitny człowiek teatru — są arcydziełami sytuacji zwrotnej, zwartej, dynamicznej i pełnej żywiołowego humoru. Bałucki to żywił sceniści, wleczony jasną i precyzyjną intuicją twórczą. Na koniec ogłoszono go także pisarzem arcyprostym, „ofiarą walki z tępych i zaczętnym mieszczańskim przeciwnikiem”. Kariera nieładna jak na autora „Gęsi i gąsek” i czołowego przed stawiciela „swojszczyzny” na polskiej scenie.

Dziś przycichła wrzawa wokół, renesansu Bałuckiego, ale mimo to, co pewien czas doczekuje się on nadal swych dni, kiedy odświeżony nieco, prezentuje się publiczności, z zawsze pewnym powodzeniem! Ostatnio zaś przeprowadza się na szanownym starszuku kurację odmładzającą, która podnosi jeszcze jego osobliwy urok. Kurację taką, kurację umuzyyczniającą, zastosował wobec „Klubu kawalerów” Stefan Orzechowski, obecny kierownik artystyczny sceny sopockiej Państw. Teatru „Wybrzeże”. Ogładając wynik tego zabiegu, zaczynamy się dziwić, że dopiero dziś wypadło się na podobny pomysł, tak wydaje się on naturalny, tak narzuca się teatralnej wyobraźni.

O ile bowiem „Grube ryby” są kameralną komedią zamkniętą w ciasnych ramach zatęchłego mieszczańskiego życia. „Dom otwarty” i „Klub kawalerów” wykraczają już poza te ramy: pierwszy — w kierunku pysznej karnawałowej zabawy, drugi — ku formie jakichś mieszczańskich „fetes galantes”, sielanki, łączącej farsowo potraktowaną rubasznosć sarmacką z pikantną wiedeńską operetką. Ileż tu rozmachu, ile teatralnej „malowniczości”! Ta staroświecka dziś dla nas komedia była w swoim czasie „demier cri”, ostatnim krzykiem mody i nowoczesności. Rzut oka na same tylko zmiany dekoracji, na sytuację pomyslowo zmontowane na ich tle przekonywa, że forma wodewilu, na pół operetki jest b. szczęśliwa, może najwłaściwsza.

Intryga tej komedii, jak na ogół komedii Bałuckiego, nie jest zbyt skomplikowana. Kiedy w sali restauracyjnej deflują przed nami — w stylu prawdziwie wodewilowym — członkowie klubu kawalerów, kiedy wkrótce po tym zjawiają się w poścuju za uciekinierkami damy, zdecydowane rozbić „kawalerskie ślub”, widz od razu pewien jest końca widowiska. Niespodzianka jednak, która sorawia nam Bałucki, polega na bogactwie sytuacji i zmienności scenerii, wśród której odbywa się odwieczna gra między mężczyzną i kobietą. Primadonna tej operetki uводи bo wiem za sobą całe męskie towarzystwo — dokąd? na ówczesne podtraktowskie wczasy, „do kapieli”, do Kryncji! „Będziemy się pysznie hawić” — zapewnia pan Motyliński kolegów i... publiczność i zawiązuje komediowy węzeł. „To się jeszcze okaże” — odgraża się zbyleży mąż, pan Piorunowicz, obawiający już pierworodnych zrodzeń.

Diva Bałuckiego aranżuje na werandzie krynickiej kawiarni, wśród balu (dekoracja II aktu), misterna sieć flirtów i zazdrości i tak przwodzi męża do Canosy, mało tego, pomaga jeszcze zakochanemu młodemu człowiekowi w odzyskaniu w podobnym sposób kaorysne narzeczonej. Klub kawalerów zostaje w III akcie, mającym

za tło dekorację ogrodu i altany, rozbitą i ośmieszony, Numa wraca do Pompiljusza, Marynia do Władysława, a przez klub, pan Sobieniewski, otrzymuje — ku zadowoleniu zawodowej swatki pani Dziuziulińskiej — jako nagrodę pocieszenia zamiast panny — zającą wdowę, panią Mirską. Happy — end wieńczy więc w pełni tę pyszną zabawę sceniczną, jaką jest „Klub kawalerów”.

Komedia z takim tem i scenerią aż prosi się o piękne, jasne dekoracje i o muzykę pełną życia i temperamentu. O wszystko to zatroszczył się w swym sopockim debiucie inscenizator i reżyser widowiska, Stefan Orzechowski.

Dekoracje, wprowadzone z sali restauracyjnej stopniowo co raz bardziej w plener, przybrały charakter prawdziwie weekendowy. Zrobione zostały świetnie (szczerze mówię w II akcie), z niebywałą prostotą, dobrym smakiem, w wesolej tonacji barwnej — z dumą uświadomialiśmy sobie na nowo, że jesteśmy przecież w Teatrze Iwo Galla.

W stronie muzycznej wyzyskał kierownik muzyczny Teatru, Janusz Urbaniński zupełnie szczęśliwie lekką muzykę Wrońskie go, nieco młodszą wprawdzie od komedii Bałuckiego, ale nieźle harmonizującą z jej beztraską atmosferą. Elementy muzyczne wtopiono w komedię z godną pochwały dyskrecją i umiarem. Główny ciężar zadania spada tu oczywiście na Ewę Krasiejkę, dysponującą dobrym i bardzo przyjemnym, gęsim, a ponadto wadziakiem i temperamentem aktorskim. Jednak i dalsze głosy, zarówno solo jak i w duecie i ensemble: dalej, akompaniamant na 2 fortepiana w wyk. K. Jastrzębskiej i Wł. Walenty nowicza; ewolucje taneczne ukł. L. Ciesielskiej; wreszcie i kostiumy z epoki z nieznanym tylko ujęciem farsowym — wszystko to wypadło harmonijnie, wywołując nastrój świetnej zabawy z epoki fin de siecle'u. Może najwyżej nie należało umieszczać w programie tekstów piosenek Zechen tra: podobnie jak i sama sztuka Bałuckiego, nie jest to zaiste literatura do czytania!

Reżyseria Orzechowskiego w sposób wy trawny powiązała ze sobą elementy widowiska, wypracowując szczególnie starannie przejścia między partiami śpiewnymi a zwykłą grą komediową. Ruch, gest, mimika prawie nieograniczenie zgrane zostały z śpiewem i tańcem. Również ensemble porównywalne tempem i żywiołowością. Jak dalece było przedstawienie sukcesem nowego reżysera, świadczy o tym fakt, że poza Ewą Krasiejką i ewł. T. Gwiazdowskim, (Nieśmiałowski i wyjątkowo dyskretnym i subtelnym komizmie), nie sposób było wprost wyróżnić kogokolwiek w bar dzo wyrównanym zespole. Zespół jest nowy i niezapomnie jednolity, nie posiada bnywami odświeżających gwiazd, jego człon kowie zgrywają się dopiero wzajemnie ze sobą — a mimo to reżyser potrafił zespo lić wszystkie siły aktorskie dla wspólnego artystycznego celu.

Bałucki nie jest oczywiście Moliere'm, ale wysiłek artysty scenicznego może być równie poważny w beztraskiej komedii muzycznej, co w najpoważniejszym dramacie poetyckim. W wywołaniu nastroju tych wczasów sprzed pół wieku, wysiłek ten, zwłaszcza w aspekcie zespołowym, zasługuje na szczerze uznanie. Obok Iwo Galla, reżysera najwyższej klasy, Wybrzeże przybyło godny uwagi reżyser o odrębnych wartościach, choć również nie lekceważący pracy zespołowej, Stefan Orzechowski i jego zespół zaprezentowali się Sopotowi w sposób jak najbardziej obiektywny. Publiczność oklaskiwała przed stawienie z niespotykaną w Sopocie żywiołowością.

ANDRZEJ ODNOWA

**TYGODNIK
WYBRZEŻA** 9
Nr. 45 (119). 21.XI.48.

Po wojnie ukazał się szereg tomów czołowych poetów, których działalność była już dobrze znana w okresie dwudziestolecia, książki te mają w obfitym wyborze dać przekrój ich twórczości. Należą to tomy Leopolda Staffa, Juliana Tuwima, Antoniego Słonimskiego, Jarosława Iwaszkiewicza, Adama Ważyka, Mieczysława Jastruna, Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego, Władysława Broniewskiego, Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, Juliana Przybosa, Czesława Miłosza, oraz nie żyjącego już Bolesława Leśmiana oraz młodego, poległego w czasie powstania warszawskiego poety, Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Mamy tu więc nie jako przegląd nabywających osiągnięć naszej przedwojennej poezji (wyjątek stanowi tom Baczyńskiego) — przy czym należy zaznaczyć, że nie rzadko w tomach tych zawarto utwory powstałe również i w czasie trwania wojny, a nawet w okresie powojennym.

Najbardziej zwartą grupę z pośród wymienionych poetów tworzy zespół najstarszy — skamandryci. Są to w przeważającej części poeci, których debiuty przypadają na okres pierwszej wojny światowej i na pierwsze lata powojenne. Będą to więc: Tuwim, Leśmian, Słonimski, Iwaszkiewicz; powiązana z nimi wykazuje również Leopold Staff, choć jest to poeta, którego rozpatrywanie w ramach jednego tylko kierunku da jedynie częściowe wyniki.

Podział taki może się wydawać nieco mechaniczny; jest on jednak w dużej mierze usprawiedliwiony. Już pobieżny przegląd książek pozwala czytelnikowi uchwycić pewien wspólny wszystkim tym poetom rys.

Jeśli wolno mi nadużyć słowa „klasyk”, to powiem, że poeci ci są klasykami dwudziestolecia. Reprezentują oni wszystkie zalety ale i również wszystkie niedociągnięcia swego okresu, przy czym właściwości te przeszły proces pewnej idealizacji, która

z kolei pozwoliła wydobyć z materiału poetyckiego, użytego przez tych pisarzy, bardzo szlachetny ton.

Spróbujmy bliżej określić, na czym cała rzecz polega. Urok tej poezji jest bowiem tak wielki, przemawia ona tak prostym językiem, i tak bezpośrednim zarazem, że niejednokrotnie czytelnik zapomina, w jakim okresie historycznym ją umiejscowić. Tym niemniej, a może właśnie dlatego, należy sobie uświadomić, że należą one do epoki, która w pewnym sensie jest bezpowrotnie zamknięta. Przede wszystkim więc należy sobie powiedzieć to, o czym większość naszych oficjalnych i nieoficjalnych krytyków jeszcze dziesięć lat temu nie miała najmniejszego pojęcia: jest to poezja bardzo ściśle określona klasowo. Jest to poezja buntu tej części mieszczańskiej inteligencji, której dotychczasowe stosunki społeczne nie odpowiadały, lecz która nie zdecydowała się na zajęcie wyraźnego stanowiska w obliczu historycznego rozwoju wydarzeń. Skamandrytów cechuje liberalizm czystej krwi; z tego też wynika, że ich bunt poetycki nie jest odbiciem walki, która się w tym czasie realnie w naszym kraju i w całej Europie toczyła. Temperament poetycki skamandrytów zawiódł ich w pełną swoistego czaru, lecz boczna uliczka buntu biologicznego. Oczywiście — nie każdy wiersz tej epoki cechuje ta postawa — jest ona jednakże nutą przewodnią wszystkich omawianych tomów.

Ten wspólny mianownik nie ma bynajmniej pretensji do cenzurki — jest on poprostu wspólnym nianownikiem. A jednak trzeba powiedzieć, że nawet takie wiersze, jak na przykład wiersze Słonimskiego o Związku Radzieckim (pisane przed 1939 r.) — nie mają tego wydźwięku, jaki miałyby pod piórem poety wyraźnie zaangażowanego w walce klasowej.

Jeśli mówię o buncie biologicznym, to najbardziej charakterystycznym jego objawem jest postawa poetów w

pierwszym rzędzie chodzi tam o życie ludzkie, jako o najwyższe dobro — sens toczony walki zostaje przez to przestony i wydaje się drugoplanowym. (Słonimski „Rozmowa”, Tuwim „Krwawy chleb”).

Drugą cechą charakterystyczną tego buntu biologicznego jest ucieczka w przyrodę. Nie w przyrodę, której człowiek jest lub może być świadomym współtwórcą — lecz w przyrodę obserwowaną. Człowiek, jeśli się w tych „przyrodniczych” wierszach pojawia, jest pomyślany, albo jako poetycki ozdobiak albo jako poetycka poeta. Takie są wiersze Tuwima przede wszystkim — znajdziemy je i u innych: u Iwaszkiewicza, u Leśmiana, a nawet, choć bardzo rzadko, u Staffa.

W końcu — sprawa tłumów. Sprawa przeciwstawiania miasta — konstrukcji technicznej tłumowi — jakimś biologicznemu kondensatowi. Ten motyw przewija się bardzo często, staje się poglądem na pewne sprawy — poglądem, wyrosłym bez wątplenia z postawy polityczno — społecznej, zajętej przez pisarzy.

Ta postawa buntu biologicznego wydaje mi się linią graniczną między poezją mieszczańską a poezją walki klasowej. Jak bardzo ta granica się zaciera w osobistym przeżyciu pisarza, świadczy chociażby niektóre wiersze Słonimskiego, gdzie akcenty społeczno — polityczne stają się bardzo wyraźne. Jeżeli skamandryci nie potrafili się zdobyć na jednoznaczność postaw, jeśli ich społeczno — polityczne wiersze zatrzymują się na pewnej granicy, która jest bez wątplenia granicą świadomości klasowej — jest to wynikiem liberalnej atmosfery, w której żyła nasza postępową inteligencją mieszczańską. (Słowa „liberalizm” używam w tym znaczeniu, w jakim figuruje ono w słowniku politycznym). Wyrywanie się z tej atmosfery oznaczałoby już przejście na nową pozycję.

Powiedziałem, że skamandryci tworzą nadzwyczaj zwartą grupę. Decyduje o tym oprócz momentów historyczno — społecznych także ich wspólne oblicze formalne. Przeważa tu regularna zwrotka, język prosty, zbliżony często do mowy potocznej, nie przeładowany zbytnio figuracją. Wielką załugą skamandra pozostanie na zawsze w dużej mierze udana próba cał-

skiej historii słowa. Poprzez ich poezję została językowi polskiemu przywrócona prostota i jasność.

WITOLD WIRPSZA



„Klub 13-tu Muz” — świetlica dziennikarzy i artystów szczecińskich — po sezonowej przerwie przystępuje do pracy. W życiu kulturalnym Szczecina klub ten ma wszelkie szanse odegrania poważnej roli organizacyjnej. Wciąż jeszcze chaotyczne, aczkolwiek pełne dobrej woli inicjatywy na dania tujejszemu środowisku literacko — artystycznemu żywego tempa pracy, miały dotychczas charakter raczej doraźnych akcji, nie udało się tu jeszcze wytworzyć stałego i silnego nurtu. Podejnowana obecnie przez „Klub 13-Muz” inicjatywa zorganizowania cyklu wieczorów autorskich, odczytów i imprez artystycznych spotka się niewątpliwie z najżywczejszym przyjęciem ze strony wszystkich, którym sprawy kultury nie są obojętne. Zwłaszcza, że — sądząc z zapowiedzi, klubowi udało się na wizaż istotnie poważne kontakty, które gwarantują atrakcyjność i wysoki poziom programowy wieczorów autorskich i odczytów. W najbliższym czasie odbędą się w klubie wieczory autorskie: Seweryna Pollaka, Witolda Woroszyńskiego, Tadeusza Borowskiego, St. Ryszarda Dobrowolskiego, Romana Bratnego i innych.

Pierwszy z zapowiedzianych wieczorów odbył się 11 listopada. Witold Woroszyński odczytał szereg mocnych wierszy o rewolucyjnej treści.

Wieczór nie zgromadził niestety takiej ilości słuchaczy, jakiej można było oczekiwać. Czy dowodzi to braku zainteresowania, czy może raczej zbyt późniejszej organizacji? Wykażą to dalsze wieczory.

Z AMBASADY REPUBLIKI CZECHOSŁOWACKIEJ
Otrzymaliśmy pismo następujące:
„Do Redakcji Tygodnika Wybrzeża w Szczecinie.

Ambasada Republiki Czechosłowackiej w Warszawie dziękuje uprzejmie za wydanie specjalnego numeru Waszego pisma, z okazji 30-letniego istnienia Republiki Czechosłowackiej, który przyczynił się do pogłębienia przyjaźni polsko-czechosłowackiej.

Ambasador: (—) PISZEK

Dyskusje Literackie:

„TRUDNE I ŁATWE“

Tocząca się przez długie miesiące wymiana zdań o roli sztuki w dzisiejszym społeczeństwie doprowadziła już do wielu cennych i pożytecznych wniosków. Wszystkie rozmowy zgodziły się jednomyślnie i zdecydowanie na ostateczny cel to jest na upowszechnienie, na umasowienie sztuki. Rozbieżności i spory zaczynają się dopiero z chwilą, gdy mówimy o sposobach, jakie należy stosować, aby zamierzony cel osiągnąć.

Tu wyraźnie zaznaczają się różnice poglądów między obozem — nazywajmy go — artystowskim i obozem szerokiej publiczności. Z jednej strony wstępują w szranki obrońcy wysokiego poziomu, którzy z kandydackim namaszczeniem gromią „lenistwo i niedouczenie” maledukcyjnych obiorców dzieł sztuki. Z drugiej znowu strony liczą publicyści i społecznicy zaciekle szturmuja „wysoką wieżę z kości słoniowej”, gdzie jakoby zamkniętą się przed tłumem niedostępni, niezrozumiali, pięknoduchowscy „szukmistrze”.

— Zjedźcie do mas! Do społeczeństwa! — wołają zapalczywi publicyści.

— Przeciwnie, to wy podciągnijcie się na naszą wysokość! Odpierają ataki mieszkańcy wieży, uzbrojeni w niedzowne argumenty o konieczności utrzymania ambitnej linii twórczej.

— Dajcie nam dzieła jasne i proste, abymyśmy was łatwo rozumieli, atakujecie nieustępliwie publiczność.

— Łatwiny prowadzą artystę na manowce! uczcie się, aby pojąć trudny trend, tłumaczcie niezmiernie wyznawcy kierunku artystowskiego.

Lecz w tym miejscu przemileża się po obu stronach kilka zasadniczych spraw, co uniemożliwia jakiegokolwiek porozumienie.

Po pierwsze niedostępni obrońcy artystowskiej wieży nie wyjaśniają atakującym masom, że jasność i prostota twórczej wypowiedzi to, albo rzadki przyrodzony dar talentu, albo najwyższy bodajże szczebel na drabinie wtajemniczeń artystycznych, szczebel osiągany dopiero po długim okresie doskonałości rzemiosła, po żmudnej wspinaczce na szczyty dojrzałości.

Jasność i prostota to naprawdę ten moment, kiedy „język gietki wypowie wszystko co pomyśli głowa”. I szkoda, że artyści nie przyznają się szerokim kołom słuchaczy, z jakim trudem i uporem walczą przez całe życie o ten jasny i prosty własny wyraz, szkoda, że nie przyznają się do niezadowolonych z wielu swoich dzieł, nieprzyjętych także przez publicz-

ność. Gdyby szczerze i otwarcie o tym mówiono, napewno zwykli zjadacz chleba patrzyliby na człowieka sztuki z większą wyrozumiałością. Tymczasem zjadacz chleba karmi się wzniosłą radą: ucz się tak jak ja, a będziesz pojnował stworzone przez mnie rzeczy trudne.

Pięknie, lecz tu przeciętny widz, słuchacz i czytelnik ma prawo żądać i dla siebie wyrozumiałości. Nauczyć się tajemnie dzisiejszej sztuki w jej awangardowych przejawach, to znaczy poznać przed tym jej elementarny alfabet, zrozumieć drogi jej historycznego rozwoju aż do chwili obecnej, aby wreszcie odczuć ostatnie prądy i bez wysiłku podziwiać ambitne dzieła nowych twórców właśnie tych niezrozumiałych.

Praktycznie biorąc, tak pojęta nauka nakłada na szerokie masy okrutne obowiązki i jakkolwiek — by nie mierzyć „czy siły na zamiary, czy zamiar według sił” nie da się tej wymarzonej szkółki zastosować. Dlaczego?

Otóż porównajmy choćby pobieżnie dzieł powszedni artysty i robotnika fabrycznego. Rano robotnik idzie do hali i tam przez osiem godzin słucha tylko monotonnych warkotów maszyny. W tym samym czasie artysta przeczyta stos kulturalnych czasopism, przemyśli jakiś modyny prąd filozoficzny, stworzy dalszy ciąg rozpoczętego dzieła, podzieli się z kolegami nową odkrywcą myślą, sięgnie po tom starego klasyka, przetłumaczy coś z obcego języka i w ogóle przeżyje ten czas w naturalnej i bliższej sobie atmosferze sztuki, wyprzedzając robotnika w jej pojmowaniu o osiem godzin, nie licząc wrodzonej pojętności i rozmówienia w tej dziedzinie. Tak samo przez dalszy ciąg dnia obaj żyją odmiennie. Robotnik odpoczywa przy posiłku, czyta codzienną prasę z sensacyjnym odcinkiem powieściowym, może wypadnie do świetlicy, chwilę posłucha radia, zagra w warcaby, czasem idzie do kina, czasem dokształca się z fachowej technicznej książki, lub wreszcie wybierze się do teatru. To już — wyobraźcie sobie — dość przykładowy tryb życia.

Artysta znowu nawet podczas wypoczynku nie występuje z kręgu sztuki. Nawet, kiedy plotkuje w kawiarni z przyjacielem, nawet kiedy zwiędza wystawę z kolegą malarzem, lub słucha poważnego koncertu w towarzyszy muzyką, ciągle rozzerza swoje horyzonty myślowe, nieustannie uważliwia swoje zmysły, pogłębia wiedzę i wzbogaca się w doświadczenie.

Kiedy i w jaki sposób robotnik takdemu dorówna? W najlepszym wypadku zbliża ich teatralny wieczór. Ale i tutaj obaj inaczej oceniają oglądaną sztukę. Artysta śledzi z zainteresowaniem wszystkie „chwyt” zastosowane przez kolegę dramaturga, lubuje się w smaczkach sztuki, lub zyma się na jej wady i t. d.

Robotnika sąd natomiast kształtuje się inaczej: jemu albo się podoba, albo się nie podoba, albo bije żywiołowe oklaski, albo jeśli rzecz go nie wzięła, zmudzony zasypia.

Tak naturalną kolejną losu dzieło sztuki odmiennie działa na umysłowość artysty i publiczności, bowiem pod przytoczonego tu przykładowo robotnika można z powodzeniem postawić chłopca, rzemieślnika, lekarza, urzędnika, inżyniera (pomijam wyjątki).

Nigdy szeroka publiczność nie nadąży za odkrywcą myślą artysty i nie należy — rozumując po ludzku — żądać aby na dążyła. Tak, jak nikt nie wymaga od artysty, aby „znał się dobrze na hodowli roślin, na krawiectwie, na buchalterii, czy też budowie maszyn.

Pewien inżynier, nacytawszy się artykułów o „upieszczeniu sztuki, wyznał wprost: „Nie rozumiem o co im chodzi? czy ja mam czas na rozstrząsanie zdobytych formalnych malarza X, lub muzyka Y? Nie, bo akurat ślęczę nad planami nowego typu samochodu. Artystę proszę tylko o skończony gotowy utwór, tak jak mnie proszą podróżni o gotowy wóz, nie wglębiając się w zawile rysunki i projekty. Pozostaje mi tylko życzyć im szczęśliwej drogi. Niektórzy z pasażerów zbada zbyk kości wozy, niektórzy sprawdzą ile motor zużywa benzyny, ale ogromną większość interesuje jedno: czy samochód osiągnie cel podróży?”

Celem podróży dzieła sztuki jest dotarcie do szerokiej masy widzów, słuchaczy, czytelników. To właśnie robotnicy, rzemie-

ślnicy, specjaliści w dziedzinach odległych od twórczości artystycznej. To ludzie, którzy po całodziennej harówce w swoich zawodach pragną choćby przez chwilę zaznać radości, jaką budzi w nas piękno. I piękno musi uderzyć i wzruszyć wprost, bezpośrednio, bez wspomagania teoretycznym wywodem. W przeciwnym razie nie dotrze do olbrzymiej większości odbiorców, nie rozporządzących ani czasem, ani specjalnym zamiłowaniem, na wglębianie się w tajniki twórczego kunsztu.

Praca każdego człowieka pomaga innym. Jeżeli społeczeństwo, wytworzące przedmioty codziennego użytku, daje artyście owoc z pól i ogrodów, ubranie, obuwie, mieszkanie, środki lokomocji, wszystko co ułatwia istnienie, to w zamian ma skromną prośbę: pomóżcie nam pięknie przejść przez życie. Dajcie nam dzieła skończone, bezspornie dobre. Eksperymenty zachowajcie dla dojrzałej potomości. Wybaczcie, że nie odrazu pojmujemy rzeczy trudne, nie wyznajemy się w tej robocie, wiemy, że prostota i jasność nie zawsze nawiedzą artystów. Ale pamiętajmy, że ballady pana Adama wzbudzały łatwy zachwyt wileńskich kucharek i pensjonarek, chociaż z trudem trawili te ballady uczeni w literaturze, znawcy i krytycy. Wiemy także o uczonych sprawozdawcach teatralnych, którzy z uporem używają terminu „Vis comica”, chociaż nie-niemni uczeni sprawozdawca. Boy — Żeleński pisał po polsku „siła komiczna” i wcale to nie przyniosło umy jego mądrości.

Jeżeli o lenistwo i niedouczenie posiadają my prostaczka, który „nie ma głowy” to przyswajając sobie „odkrywczych” zdobytych sztuki to niemniej leniwy okaże się medrecz, jeżeli nie kwapi się do przetłumaczenia tych odkryć na język wspólny i mędrcom i prostaczkom.

EDWARD FISZER

TYGODNIK WYBRZEŻA

Gdynia, Portowa 8, tel. 16-85. Nadesłanych rekopisów nie zwraca się. PRENUMERATA miesięczna 80 zł, kwart. 225 zł, półr. 440 zł, roczna 860 zł. Cennik ogłoszeń: 1 mm tamu szer. 63 mm w dziale ogłoszeń — 50 zł, w tekście — 100 zł, przetrzagi 1 mm tamu 63 mm 100 zł. Strona — 75.000, 1/2 str. 40.000 zł, 1/4 str. 25.700 zł.

KONTA: BGS: 656, PKO: X-892.

WYDAWCA: Spółdzielnia Wydawnicza „POLSKIE PISMO I KSIĄŻKA” w Szczecinie Al. Wojska Polskiego 39 — Telefon 25-06 Skład maszynowy w drukarni Nr. 10, Sp. „Czytelnik” w Szczecinie. Układ graficzny i druk w drukarni P. P. K. w Szczecinie X-10270